DWUTYGODNIK POLITYCZNY

RZECZPOSPOLITA

Nr. 117.] SOBOTA 4 KWIETNIA 1914. [Rocznie....... 10 K (4 Rb., 8 Mk.).
Półrocznie... 5 K (2 Rb., 4 Mk.).
Cena egz. pojedyńcz. 50 h.

Zgrzyty konstytucyi w Austryi.

Konstytucya, którą się rządzi państwo austryackie, układała się w latach 1860—1873. Wprowadził ją dyplom cesarski z d. 20 paźdz. 1860, wydany za gabinetu Rechberg-Gołuchowski i zapowiadający konstytucyę federalistyczną, bo poza sprawami istotnie wspólnemi i ściśle wymienionemi, które załatwiane być miały w Radzie Państwa, wybieranej przez Sejmy, główny zakres ustawodawstwa przypaść miał Sejmom. Jednak miejsce Gołuchowskiego, który był głównym doradcą Korony i został ministrem stanu, zajął już w dwa miesiące później Schmerling, centralista, wskutek czego patent konstytucyjny z d. 26 lutego 1861, będący wykonaniem poprzedniego dyplomu, bardzo się posunął w kierunku centralistycznym, przyznając Radzie Państwa w ustawie zasadniczej kompetencyę bardzo szeroką, a Sejmom w statutach krajowych bardzo wązką. Ale praca Rady Państwa chromała i wskutek tego przyszło do uchwalenia przez nią i sankcyonowania przez cesarza nowej ustawy zasadniczej z d. 21 grudnia 1867, która miała być bardzo autonomistyczna, za Belcrediego, a ostatecznie i za Beusta usposobionego centralistycznie i ścieśniała nieco kompetencyę Rady Państwa na korzyść Sejmów. W ciągu następnych kilku lat wahały się siły autonomistów i centralistów, były chwile w r. 1871 i 1872, w których rząd i komisya Rady Państwa wniosły projekty pewnego rozszerzenia autonomii Galicyi, ale ostatecznie centraliści zwyciężyli zupełnie i d. 2 kwietnia 1873 wydana została ustawa zasadnicza państwowa, wprowadzająca wybory do Rady Państwa nie przez Sejmy, ale bezpośrednio.

Ten ustrój konstytucyjny trwa do dzisiaj ze zmianą ordynacyi wyborczej do Rady Państwa dokonanej w r. 1907 przez wprowadzenie wyborów powszechnych.

Przez pół wieku było sporo tarć konstytucyjnych między centralizmem a autonomią, między władzą ustawodawczą a wykonawczą, jak przedewszystkiem znane rozporządzenia językowe czeskie Kazimierza Badeniego, następnie zniesione, ale ostatecznie jakoś to szło.

W ostatnich czasach jednak ustrój konstytucyjny państwa austryackiego zaczął trzeszczeć na dobre i w ciągu kilku miesięcy dwukrotnie zarysowały się bardzo ostro jego niedomagania.

Nasamprzód trzasnęło bardzo mocno w autonomicznej konstytucyi krajów i przyszło do zarządzeń niewątpliwie niekonstytucyjnych.

D. 26 lipca 1913 ukazał się patent cesarski, który, powołując się na to, że „Sejm Królestwa czeskiego od szeregu lat nie może spełniać swoich zadań prawnych (jak wiadomo wskutek obstrukcyi niemieckiej), a obecnie także i Wydział Krajowy nie jest zdolen ani wywiązać się ze skarbowych zobowiązań administracyi krajowej ani wogóle prawnie spełniać przysługujące mu funkcye", oraz że „wskutek tego ustawodawstwo Królestwa Czeskiego i działalność administracyjna i wykonawcza Wydziału Krajowego stawały w zastoju", zamianował t. zw. Komisyę Administracyjną w Czechach, która nie tylko zastąpiła Wydział Krajowy, wybierany przez Sejm, ale nawet otrzymała kompetencye większe, bo możność załatwiania spraw skarbowych, pożyczek i t. d., bez uchwały Sejmu.

Odrazu było rzeczą widoczną, że wydanie tego patentu niezgodne jest z konstytucyą. Statuty krajowe, które są właśnie prawnem ujęciem tej konstytucyi, powierzają władzę administracyjną i wykonawczą w zakresie autonomii jedynie Wydziałom Krajowym, w całości wybieralnym przez Sejmy i mającym na czele marszałka mianowanego przez cesarza z grona Sejmu. O jakiejkolwiek Komisyi Administracyjnej, lub wogóle o możności zastąpienia Wydziału Krajowego przez inne ciało, podobnie jak o możności załatwiania spraw bez prawomocnych ustaw wydanych na podstawie uchwały Sejmu, w statutach krajowych niema żadnej zgoła wzmianki. Niekonstytucyjność patentu była jasna. Ale obie walczące strony w Czechach, zarówno Czesi jak Niemcy widzieli, że wobec długoletniego nieuchwalania budżetu i braku funduszów dla pokrywania niedoborów, grozi zamknięcie szkół, zapuszczenie dróg, oddalenie urzędników krajowych i t. d., czego żadna strona nie życzyła sobie. Dlatego wśród głośnych protestów, ale z cichą zgodą w rzeczywistości, godziły się obie narodowości na Komisyę Administracyjną, jako na jedyne wyjście z trudności, ale wyjście niekonstytucyjne. Gdy zaś godziły się obie strony, przedstawiające całość ludności kraju, to któż miał upomnieć się o konstytucyę i cóż mogło grozić zarządzeniu niekonstytucyjnemu? Weszło ono w życie bardzo gładko i w Czechach sprawuje dzisiaj rządy autonomiczne mianowana przez cesarza Komisya Administracyjna, złożona w odpowiednim stosunku z Czechów i Niemców, którzy jednak piastują władzę swą z ramienia władzy państwowej, a nie z wyboru przez Sejm.

Zdarzyło się jednak, że pewien właściciel gruntu w miejscowości Cihelna, nazwiskiem Franciszek Kudrnac, nie chciał się poddać

pewnemu zarządzeniu budowlanemu Rady Powiatowej w Pardubicach, powołując się na to, że Rada Powiatowa występuje tu jako miejscowy czynnik autonomiczny z ramienia Wydziału Krajowego, któremu ustawa daje prawo takich zarządzeń, ale w danej chwili niema Wydziału Krajowego, tylko jest Komisya Administracyjna, przeciwna konstytucyi, a zatem nie mająca prawa do wydawania zarządzeń. I d. 26 września 1913 wpłynęło zażalenie Franciszka Kudrnaca w tej sprawie do Trybunału Administracyjnego w Wiedniu jako najwyższej instancyi, orzekającej, czy rozporządzenie jakiejś władzy zgodne jest z prawem, czy nie. Trybunał Administracyjny wydał orzeczenie swe w tej sprawie d. 6 października 1913, a d. 17 października 1913 doszło ono do wiadomości publicznej.

Wynik orzeczenia Trybunału Administracyjnego był taki, że ustanowienie przez cesarza Komisyi Administracyjnej w Czechach jest zgodne z konstytucyą, a wobec tego, że przeprowadzenie takiego dowodu nie mogło być łatwe, jest niewątpliwie rzeczą zajmującą, jaką drogą wynik taki się osiągnęło.

Rozumowanie Trybunału Administracyjnego było następujące:

Na podstawie konstytucyjnej ustawy zasadniczej z d. 21 grudnia 1867, art. 7, oraz na podstawie ustawy z d. 22 października 1875 o ustanowieniu i zadaniach Trybunału Administracyjnego, ma on rozpatrywać prawomocność rozporządzeń, które wydaje jakaś władza w zakresie istniejących ustaw, ale nie ma prawa rozpatrywać należycie wydanych ustaw samych.

Otóż Trybunał Administracyjny postanowił pójść drogą wykazania, że patent cesarski o Komisyi Administracyjnej w Czechach nie jest rozporządzeniem, ale jest należycie wydaną ustawą, a zatem nie może być przez Trybunał wogóle badany.

Co jednak uważać się ma za należycie wydaną ustawę, to określone jest ściśle w konstytucyi austryackiej, a mianowicie ustawa każda ma być ogłoszona w dzienniku ustaw państwowych, względnie krajowych, w imieniu cesarza, z powołaniem się na uchwałę ciała prawodawczego, z podpisem odpowiedzialnego ministra.

Patentowi cesarskiemu z d. 26 lipca 1913 o Komisyi Administracyjnej w Czechach brak... jednego z tych warunków, ale właśnie najistotniejszego, mianowicie... powołania się na odpowiednią uchwałę ciała prawodawczego, t. j. w tym wypadku Sejmu czeskiego.

Wiadomo, że gdyby chodziło o ustawę państwową, możliwe jest rozporządzenie cesarskie, mające wartość ustawy bez uchwały Rady Państwa. Mianowicie w konstytucyi państwowej z d. 21 grudnia 1867 znajduje się znany dobrze § 14-sty. Postanawia on, że w nagłej potrzebie w czasie, gdy Rada Państwa nie obraduje, może cesarz sam wydać rozporządzenie, mające moc ustawy.

Ale właśnie w tem sęk, że konstytucya państwowa ma ten paragraf, a statuty krajowe paragrafu takiego nie mają.

Do tej trudności dobrał się Trybunał Administracyjny w następującym wywodzie, stanowiącym jądro całego orzeczenia, który też poznać trzeba dosłownie:

„Chociaż art. 10-ty państwowej ustawy zasadniczej l. 145 wskazuje formalne powołanie się na uchwałę odpowiedniego ustawodawczego ciała poselskiego jako z a s a d n i c z y postulat ustawy, jednak nie można twierdzić, jakoby ta zasada istniała tak b e z w y j ą t k u, żeby bez zadośćuczynienia temu wymaganiu nie była możliwa prawomocna i obowiązująca ustawa. Że także wedle austryackiego prawa konstytucyjnego dopuszczalne są wyjątki od tej zasady, dowodzi p a r a g r a f 14-sty państwowej ustawy zasadniczej z d. 21 grudnia 1867 Dz. u. p. l. 141, który wyposaża t. zw. rozporządzenia cesarskie w moc ustawową i uznaje je za prawomocne i wedle art. 7 ustawy zasadniczej niepodlegające rozpatrywaniu sądowemu ustawy (por. orz. Tryb. Adm. z 30 kwietnia 1901 i orz. Tryb. Państw. z d. 21 paźdz. 1904), chociaż wydano je bez powołania się na uchwałę kompetentnej Rady Państwa, a tylko z wskazaniem na wymieniony § 14-sty. W ten sposób sama już konstytucya państwowa w z a k r e s i e u s t a w o d a w s t w a p a ń s t w o w e g o wyraźnie mówi, że w razie naglącej konieczności, a zatem w razie położenia przymusowego, warunek ten nie musi być spełniony.

„W zakresie k o n s t y t u c y i k r a j o w e j czeskiej nie istnieje c o p r a w d a wyraźny przepis odpowiadający §-owi 14-stemu państwowej ustawy zasadniczej l. 141. Jednak w e d l e p r z e k o n a n i a Trybunału Administracyjnego byłoby rzeczą mylną, gdyby stąd wnioskować się chciało, że zasadnicza myśl przyświecająca §-owi 14-stemu nie ma znaczenia na gruncie ustawodawstwa krajowego w Austryi. Wniosek taki przeoczyłby, że § 14-sty wedle swego brzmienia i celu mniej zmierza ku temu, aby to prawo rozporządzenia w konieczności albo ściślej mówiąc ustawodawstwa w konieczności d o p i e r o d o z w a l a ć lub wprowadzać, jak raczej ku temu, aby właśnie dla ochrony konstytucyi określić s p o s o b y wykonywania i zakreślić granice tego prawa, którego z a s a d n i c z ą d o p u s z c z a l n o ś ć przyjmuje się jako n i e s p o r n ą. Jeżeli z §-u 14-go wogóle dopuszczalny jest wniosek a c o n t r a r i o dla zakresu ustawodawstwa krajowego, to wniosek taki może doprowadzić tylko do takiego wyniku, że w a r u n k i i o g r a n i c z e n i a tego prawa (t. j. § 14-go), przepisane dla ustawodawstwa państwowego, o d p a d a j ą w zakresie ustawodawstwa krajowego, a nieusprawiedliwiony byłby wniosek, że podobne prawo ustawodawstwa w konieczności miałoby być z a s a d n i c z o n i e d o p u s z c z a l n e w zakresie ustawodawstwa krajowego.

„Że zresztą p r a w o m o n a r c h y do samodzielnego podejmowania kroków ustawodawczych nagląco potrzebnych dla zapobieżenia ciężkim stratom w interesie państwa lub części państwa uznane być musi z a w s z e, nawet jeżeli nie jest ono wyraźnie skodyfikowane, za takie, które s a m o p r z e z s i ę r o z u m i e s i ę (selbstverständlich), wynika to z tego, że nie dałoby się to pogodzić z żywotnymi interesami państwa lub poszczególnych krajów, ani nie odpowiadałoby to prawom rozumnej l o g i k i i świadomości prawnej, ale raczej równałoby

się zaprzeczeniu państwu prawa strzeżenia swej egzystencyi, gdyby się tylko dlatego, że Rada Państwa lub Sejm powołany do współdziałania w wydawaniu ustaw nie jest do tego skłonny lub zdolny, także i cesarza skazywało na bezczynność i wmawiało się weń, by nie korzystał z przysługującego mu wedle sankcyi pragmatycznej prawa czynienia wszystkiego, co potrzebne jest dla „zachowania krajów dziedzicznych“ czyli dla utrzymania całości krajów koronnych, oraz aby spokojnie przypatrywał się, jak jeden z krajów bieży ku katastrofie gospodarczej.

„Dla takich wypadków konieczności istnieje także w Królestwie Czeskiem ustawodawstwo z konieczności. Tylko że nie jest ono wyraźnym przepisem bliżej określone, wskutek czego nie jest też związane żadną normą skodyfikowaną co do swego zakresu i warunków zastosowania, ale podlega jedynie ograniczeniom wskazanym istotą położenia przymusowego.

„Przy wprowadzeniu tego ustawodawstwa w konieczności, podobnie jak w rozporządzeniach cesarskich na podstawie § 14-go, wskazanie na przymusowe położenie i na niemożliwość skłonienia odpowiednich ciał ustawodawczych do współdziałania zastępuje przepisane w art. 10-tym państwowej ustawy zasadniczej l. 145 powołanie się na uchwałę tego czynnika ustawodawczego i dlatego sam brak takiego powołania się nie może w takich wypadkach odbierać takiemu krokowi prawodawczemu charakteru ustawy nie podlegającej rozpatrywaniu przez trybunały“.

Tak brzmi rozumowanie Trybunału Administracyjnego.

Skoki tego rozumowania są najzupełniej widoczne od zdania do zdania i wcale nawet nie potrzeba żmudnie dopiero doszukiwać się wykrętu prawnego.

Powołuje się Trybunał Administracyjny na to, że zasada konieczności uchwały ciała prawodawczego dla wydania ustawy zna wyjątek, mianowicie § 14-sty państwowej ustawy zasadniczej. Tak, ale też właśnie ten wyjątek jest wyraźnie ujęty w osobny artykuł konstytucyi. Każdy inny wyjątek musiałby być tak samo wyraźnie wymieniony. Gdy nie jest wymieniony, jest niedopuszczalny i obowiązuje zasada. To jest jasne jak słońce. I Trybunał Administracyjny musi stwierdzić, że dla ustawodawstwa krajowego taki wyjątek nie jest przewidziany. Ale tu następuje skok. Nie jest przewidziany, lecz... sam przez się rozumie się. Dlaczego? Bo w położeniu przymusowem sam monarcha może wydawać ustawy i wogóle robić wszystko, co uzna za stosowne w myśl... sankcyi pragmatycznej z roku... 1713. Lecz po sankcyi pragmatycznej, która była wyrazem absolutyzmu monarszego, przyszedł okres konstytucyjny i właśnie dyplom z 20 października 1860 i patent z 26 lutego 1861, które wprowadziły konstytucyę w Austryi, określiły nowy porządek rzeczy odmiennie od tego, co było w sankcyi pragmatycznej wyraźnie tę zmianę sankcyi zaznaczając: „My i Nasi następcy wykonywać będziemy prawo wydawania, zmieniania i znoszenia ustaw jedynie przy współdziałaniu prawnie zebranych Sejmów krajowych, względnie Rady Państwa...“. Nie można dzisiaj przeskakiwać przez akty konstytucyjne i wracać do sankcyi pragmatycznej. I nie można twierdzić, że samo przez się rozumie się, iż po nadaniu konstytucyi i mimo nadania konstytucyi można od czasu do czasu wracać do rządów absolutnych i samodzielnego wydawania ustaw przez monarchę, nie przewidzianego przez konstytucyę krajów.

Mógłby ktoś powiedzieć, że jednak najsilniej przemawia to, iż położenie było przymusowe i w autonomii Czech musiało się coś zrobić. Ale tu jeszcze można było wybierać w tem, co zrobić, i można było wybrać coś innego. Wszakże mimo obstrukcyi niemieckiej czeska większość Sejmu mogła w szybkiem postępowaniu uchwalić wszystko, co było konieczne, a uchwały te mogły otrzymać sankcyę cesarską. Jakiekolwiek połączoneby z tem były trudności czy przykrości, zawszeć lepsze to, niż zarządzenie niekonstytucyjne. A skoro były inne sposoby i to sposoby konstytucyjne, całe to pojęcie położenia przymusowego staje się dosyć wiotkiem i traci wszelką wartość.

Gdy się ma do wyboru, czy łamać obstrukcyę, czy łamać konstytucyę, to zdaje się, należy łamać obstrukcyę, która jest występkiem, a nie należy łamać konstytucyi, która jest prawem podstawowem.

Orzeczenie Trybunału Administracyjnego wywołało oczywiście we wszystkich poważnych kołach zdumienie, a podobno i prezydent ministrów hr. Stürgkh nie taił się z tem, że także dla niego tak daleko idąca obrona zarządzenia wydanego za cichą zgodą interesowanych, ale zasadniczo nieprawnego, była niespodzianką.

W każdym razie jednak i samo wydanie patentu z d. 26 lipca 1913 w sprawie Komisyi Administracyjnej i usprawiedliwienie tego kroku tak bardzo śmiałe przez Trybunał Administracyjny są wypadkami politycznymi ogromnej doniosłości dla całego ustroju konstytucyjnego. Są one bądź co bądź odbiciem pewnych prądów, krążących w kierujących kołach państwa, a zarazem są też przedsmakiem różnych możliwości w zakresie szanowania i rozumienia konstytucyi. Hodie tibi, cras mihi! O tem powinni pamiętać w takiej chwili wszyscy, którzy dorobek konstytucyjnego ustroju szanują. Dzisiaj dzieje się to jednemu Sejmowi, jutro może się stać innemu Sejmowi, pojutrze Radzie Państwa, dzisiaj dzieje się za zgodą tych, których res agitur, jutro stać się może bez zgody i wprost przeciw komuś.

Zdawałoby się, że po takiem zarządzeniu niekonstytucyjnem i następnie po orzeczeniu, podnoszącem je do godności zasady prawnej, pójdzie grzmot po całem państwie. Nie grzmiało. W Izbie Posłów pogadano o tem w połowie listopada 1913, ale widoczne było, że panowie politycy tylko stroją się w szaty żałoby i tylko na szczudłach podnoszą się ku oburzeniu, sztucznie i pozornie. To już nie są ci, którzy walczyli o konstytucyę i umieli jej strzedz, jak oka w głowie. To już epigoni. Jedni przyzwyczaili się, że wszystko się łata jakoś, choćby szarpaniem konstytucyi, a inni znowu wogóle więcej niż o konstytucyę dbają o to, jak wygląda polityka w brukowem pisemku. Poziom

świata politycznego w Austryi nie jest dzisiaj wysoki.

Wkrótce po tym zgrzycie w konstytucyi autonomicznej trzasnęło również w życiu konstytucyjnem państwa i zamiast ustaw parlamentarnych przyszły rozporządzenia na podstawie §-u 14-go, wprawdzie nie przeciwne konstytucyi, ale zawsześ obchodzące się choćby wyjątkowo bez jej urządzeń.

Posłowie parlamentarni czescy, odpłacając posłom sejmowym niemieckim pięknem za nadobne, stanęli na stanowisku wyrażającem się w haśle, że bez Sejmu czeskiego niema Rady Państwa i unieruchomili Izbę Posłów systematyczną obstrukcyą.

D. 16 marca 1914 odroczono Radę Państwa i następnie w drodze rozporządzenia cesarskiego na podstawie §-u 14-go ust. zas. z r. 1867 załatwiono pobór rekruta oraz pożyczkę państwową, którą zresztą może nie da się nawet wtłoczyć w postanowienia §-u 14-go, gdyż nie dopuszcza on rozporządzeń w sprawie „zmiany ustawy zasadniczej, trwałego obciążenia skarbu państwa i pozbycia dobra państwowego“, a pożyczka będzie zapewne dosyć trwałem obciążeniem skarbu.

Obecna niezdolność Izby Posłów do pracy nie jest, jak wiadomo, zjawiskiem chwilowem i niezwykłem. Wogóle Izba ta po wprowadzeniu w r. 1907 powszechnego głosowania, które miało ją ożywić, sił żywotnych ma bardzo mało. Ustawicznie utyka wskutek tej lub innej obstrukcyi, ustawicznie rząd potrząsa nad nią, jak harapem, groźbą odroczenia i wstrzymania dyet poselskich lub groźbą rozwiązania. Czasem to pomaga, szczególnie, gdy jest silny napór wyborców, by coś zrobiono, jak n. p. w sprawie małego planu finansowego, uchwalonego w styczniu 1914. Czasem nie pomaga już nic i wtedy przychodzi rozwiązanie Izby, jak w r. 1911, lub odroczenie Rady Państwa i § 14-sty, jak obecnie. Chwile spokoju są rzadkie. Gdy skończą obstrukcyę Słoweńcy, zaczynają Włosi, gdy skończą Czesi, zaczynają Rusini, poprostu luzują się tylko i tak kręci się to w kółko od lat siedmiu.

Ludność straciła zupełnie wiarę w zdolność tej Izby do pracy. Świeżo zdarzyło się coś, co na to usposobienie rzuca sporo światła. Wlokła się długo w Radzie Państwa sprawa pragmatyki nauczycieli szkół średnich i seminaryów, wreszcie uchwaliła ją Izba Posłów i komisya Izby Panów, ale zanim rzecz przyszła do pełnej Izby Panów, utknęło wszystko, bo z powodu obstrukcyi w Izbie Posłów została Rada Państwa odroczona. Otóż d. 26 marca jawiła się u prezydenta ministrów hr. Stürgkha deputacya związku ogólno-austryackiego nauczycieli szkół średnich z prośbą o wprowadzenie tej pragmatyki w drodze §-u 14-go. Rozumowanie jest takie: cóż my jesteśmy winni, że posłowie robią burdy, niech rząd robi sam.

Kilkoletnia już ta i stała niezdolność Izby do pracy doprowadziła powoli do tego, że także w kołach rządzących zjawiać się zaczynają myśli pewnej przebudowy życia konstytucyjnego w państwie. I rząd uznaje, że trzeba przenieść więcej spraw do Sejmów, a uwolnić od nich Radę Państwa. Te myśli znalazły wyraz w komunikacie rządowym ogłoszonym w urzędowej „Wiener Zeitung“ d. 17 marca r. b., w chwili odroczenia Rady Państwa. Po wykazaniu, że rząd tylko z konieczności i z winy stronnictw ucieka się do §-u 14-tego znajduje się tam w zakończeniu ustęp następujący:

„Prędzej czy później wniknie w świadomość polityczną wszystkich stronnictw i szczepów uznanie, że walki narodowościowo-polityczne będą mogły być prowadzone tylko w takiej formie i na takim terenie, gdzie one nie stoją w przeciwieństwie do najwyższych interesów ludu i państwa... Zarówno w Czechach, jak i w innych królestwach i krajach, należy ograniczyć wewnętrzne waśnie na teren ściślejszej ojczyzny przez wyrównywanie przeciwieństw a Radę Państwa od tych walk ochronić“.

Tą samą myślą ożywione były również ogłoszone w połowie marca w „Neues Wiener Tagblatt“ artykuły p. t.: „Renesans Sejmów“ które zwróciły uwagę kół politycznych i były uważane za wyraz poglądów rządowych.

Są to niewątpliwie wskazówki pewnego skłaniania się ku rozszerzeniu działalności Sejmów, a ulżeniu Radzie Państwa, a więc objaw tych skłonności powitano z zadowoleniem w obozach zwolenników autonomii.

Naodwrót zwolennicy centralizmu zaniepokoili się, najgłośniej bodaj Rusini, których pismo „Diło“ z d. 23 marca r. b. stara się osłabić wrażenie oświadczenia rządowego, twierdząc, iż nie oznacza ono wcale dążności do zmian w ustroju ustawodawczym, ale poprostu pragnienie rządu, aby z powodu spraw, należących do Sejmów, nie tamowano prac w Radzie Państwa, co w ukraińskiem ujęciu politycznem brzmi:

„Jak tobi doszkuljujut nahnitky, to ne idy do dentysta i ne każy wyrywaty sobi zuba! jak choczesz distaty reformu, jaku konstytucya peredała do kompetencyi sojmiw, to ne poborjuj w parljamenti ciłkom inszoj sprawy, jaka należyt do kompetencyi parljamentu“.

A jednak, czy to się zwolennikom centralizmu podoba, czy im się nie podoba, nie zakryją oni ciężkiej choroby, w którą centralizm wpędził życie polityczne państwa, oraz nie zdołają wmówić w nikogo, że dążenie do poprawy, któremu i rząd już daje wyraz, da się zamknąć w granicach dzisiejszego ustroju centralistycznego.

Jeśli nie zmieni się niczego w urządzeniach politycznych, to nie zmieni się, rzecz jasna, także i bieg życia politycznego.

Jeśli i nadal główny zasób ustawodawstwa pozostanie w Radzie Państwa, a tylko przyczepkami niejako do niej będą Sejmy, to oczywiście i nadal głównym terenem walk narodowościowych i wymuszań politycznych pozostanie Rada Państwa.

Są pewne urządzenia polityczne, które nigdy nie zdołają utrzymać się trwale, a mianowicie urządzenia, nie liczące się z przyrodzonemi i najistotniejszemi właściwościami państwa i jego zaludnienia. Takiem urządzeniem na opak był centralizm w państwie składającem się z oddzielnych krajów, mających swoje odrębne sprawy. Zachłannie nagromadzili centraliści wszystko w Radzie Państwa i teraz

właśnie z powodu tego nagromadzenia co chwila na jakiejś sprawie, dotyczącej jednego kraju, utyka całe ustawodawstwo państwowe i staje cała Rada Państwa.

I dlatego nawet rząd czuje dzisiaj, że sprawy, dotyczące jednego kraju i narodowości tego kraju, powinny być załatwiane na gruncie krajowym. To zaś wymaga zmiany w życiu ustawodawczem, bo bez zmian pozostanie wszystko jak jest, a tylko przez rozszerzenie działalności Sejmów, a zebranie w Radzie Państwa jedynie spraw naprawdę wspólnych, jak zamierzał pierwszy i podstawowy dyplom konstytucyjny z d. 20 października 1860, osiągnąć można uzdrowienie życia politycznego w całem państwie. I mniejsza o to, czy rząd dzisiaj myśli już o zmianach w tym duchu, czy nie, naiwnością nawet byłoby przypuszczać, że gotów jest on rychło do nich się zabrać. Ale ważną jest rzeczą że rząd czuje zło obecne, czuje, że coś zmienić się musi, bo już to kieruje powoli umysły ku jedynemu możliwemu wyjściu: ku rozszerzeniu zakresu działania Sejmów.

Tak więc konstytucya państwa austryackiego i jego krajów zgrzyta dzisiaj na obu polach pracy ustawodawczej, autonomicznem i centralnem, bo zamiast Sejmu czeskiego jest Komisya Administracyjna, a zamiast Rady Państwa jest § 14-sty.

Wydawałoby się tedy, że to jest błędne koło, bo lekarstwem na chorobę Rady Państwa ma być zwrócenie się ku Sejmom, ale i te Sejmy złożone są chorobą.

Trzeba jednak trzeźwo zastanowić się nad tem, jakie jest możliwe wyjście z tego błędnego koła, a wtedy jasno stanie przed oczyma jedna prawda niewątpliwa i bardzo prosta:

Sejm, ten czy ów, ma jedną swoją sprawę walki narodowościowej, której nic mu nie odejmie, bo niema gdzie jej usunąć z kraju różnonarodowościowego, a Rada Państwa ma wszystkie te sprawy walk narodowościowych razem, które można jej odjąć, przenosząc każdą do własnego jej kraju.

Sejm każdy musi i może uporać się ze swą sprawą tarcia narodowościowego w żywotnym interesie kraju i tych ludności, które go zamieszkują i razem zamieszkiwać muszą i będą. Załatwianie tych sporów musi iść nie w duchu przemocy, lecz w duchu sprawiedliwej ugody, zarówno dlatego, że przemoc się nie ostoi, jak dlatego, że ostatecznie załatwienia w duchu ucisku nie otrzymałyby sankcyi Korony, która nie może żadnej narodowości w państwie pchać na drogę rozpaczy.

Rada Państwa zaś, rozbijana dziś wszystkimi sporami naraz, Włochów ze Słoweńcami i Niemcami, Słoweńców z Niemcami, Niemców z Czechami, Polaków i Czechów z Niemcami na Śląsku, Rusinów z Polakami, ta rada Państwa nie tylko żadnego z tych sporów nie rozwiąże i nie tylko przeszkadza rozwiązywaniu ich w poszczególnych Sejmach, ale nadto sama nie może ruszyć z miejsca wśród tylu zapór i ostatecznie przestaje pracować.

Ta prawda zaczyna być jasną dzisiaj i rządowi.

Ale z uzdrowieniem stosunków tych nie należy zaprawdę zwlekać, bo gdy konstytucya niedomaga, gdy urządzenia ustawodawcze utykają, gdy rzeczy idą ku anarchii, wtedy nie ostoi się nie tylko powaga, ale i sam byt tego ustroju, a sąsiedzi zaczynają z niebezpieczną ciekawością spozierać na rozstrój państwa, które jednak dla wszystkich swych ludów jest i może być bezpieczną przystanią wśród burz i pochodów dziejowych.

Unia, ugoda, czy likwidacya.

Uchwalona przed miesiącem reforma wyborcza uznana została powszechnie, jako akt pierwszorzędnej doniosłości historycznej, kładący nowe podstawy pod stanowisko polskie w tej dzielnicy naszej. Akt ten uległ rozmaitej ocenie, począwszy od przedstawienia go, jako nowej unii polsko-ruskiej, nie ustępującej w doniosłości poprzednim uniom polsko-ruskim, czy to Horodelskiej, czy Lubelskiej, czy Brzeskiej, a skończywszy na skromniejszej nazwie ugody, mającej obecnie łączyć oba poważnione i wrogie dotąd narody.

Pierwsze stanowisko zajęła prasa konserwatywna i wybitni przewódcy prawicy krakowskiej (p. Jaworski, b. namiestnik Bobrzyński i obecny namiestnik Korytowski), którzy nie wahali się użyć tych wspomnień tyle chwalebnych naszej przeszłości także i dlatego, ażeby opinię polską, wrażliwą na takie wspomnienia, zjednać ideowo dla swojej współczesnej politycznej koncepcyi.

Drugą ocenę, znacznie skromniejszą, trzeźwiej niż pierwsza ujmującą dokonane fakty, reprezentuje przeważna część stronnictw sejmowych, poczynając naturalnie od grup lewicy, które najsilniej usiłują przekonać opinię publiczną o korzyściach tego „porozumienia“ polsko-ruskiego i nazywają je wiekopomną ugodą, otwierającą nowy okres zgodnego współżycia obu narodów, a kończąc na autonomistach i klubie Środka, którzy bliżsi stosunków realnych z większym lub mniejszym sceptycyzmem przyjmują tę nową „ugodę“ jako akt przymusowej politycznej konieczności, przed którym według ich opinii cofnąć się nie było już możności.

Że unią to porozumienie nie jest i być żadną miarą nie może, jest oczywiste. Słusznie podnosi „Rzeczpospolita“, że „unią to dzieło nazwać trudno, bo ono właściwie zaznacza rozdział, a nie spajanie się“, bo „gdy dawne unie za cenę szanowania pewnych odrębności narodowościowych ustalały jedność prawno-polityczną całego państwa, to teraz, dla zachowania tej prawno-politycznej jedności kraju, stworzonej i przekazanej spuścizny dziejowej, następuje zgoda na uznanie rozdziału narodowościowego“. Powiedzmy dalej: nie tylko zgoda na uznanie tego rozdziału, ale stworzenie podstawy przez dopuszczenie kuryi narodowej do stawiania dalszych bezwzględnych żądań ruskich, dotyczących podziału kraju na odrębne części, polską i ruską, wbrew zasadzie unii. Można z całą pewnością stwierdzić, że opinia publiczna tej fantastycznej i nie realnej nazwy i oceny zaszłego porozumienia jako nowej unii nie przyjęła i łudzić się nią nie daje.

A więc może to jest istotnie przynajmniej ugoda, która w myśl jej zwolenników i propagatorów z naszej strony ma rzeczywiście tworzyć warunki zgodnej, pozytywnej pracy obu narodów dla dobra kraju, a dając stronie ruskiej niezaprzeczone, namacalnie wielkie polityczne korzyści, nie odmawia tejże korzyści i drugiej umacniającej się stronie, zapewniając jej przynajmniej w tej lub innej dziedzinie publicznego życia możliwość skutecznego rozwoju tych instytucyi, które dla jej interesu narodowego są nieodzownie potrzebne.

Ta obustronna korzyść musi leżeć w pojęciu każdej ugody, jeżeli to ma być istotna ugoda, nie zaś kapitulacya, nie likwidacya dotychczasowego stanu posiadania.

Nie pora już podnosić rekryminacye co do zapadłych nieodwołalnie paktów, ale zawsze pora zdać sobie z nich jasno sprawę i zawsze jest obowiązkiem publicystycznym nie tuszować choćby najbardziej przykrych dla naszej sprawy narodowej i jej przyszłości wydarzeń, tylko wydobyć je wszystkie wraz z koniecznemi następstwami, ażeby opinia publiczna mogła rzetelną oryentacyę zarówno co do teraźniejszości, jak i działania na przyszłość, posiadać.

Otóż w zaszłej „ugodzie“ ustalić można następujące fakty:

1. Rusini otrzymali w uchwalonej reformie wyborczej znakomite powiększenie swego stanowiska politycznego, wychodzące poza realny układ ich sił społecznych w każdej kuryi sejmowej, jak to niejednokrotnie „Rzeczpospolita“ przy krytyce projektu blokowego i rządowego wykazywała. Czy to w kuryi wielkiej własności, czy w kuryi miast, wsi, czy w kuryi powszechnej, Rusini osiągnęli wyższy procentowo udział swych przedstawicieli, aniżeli to odpowiada procentowo ich udziałowi ilościowemu co do ludności i finansowemu w ponoszeniu ciężarów krajowych. Niema więc tu mowy o jakiemś pokrzywdzeniu Rusinów, można tylko stwierdzić ich uprzywilejowanie, które im obecnie uchwalona ustawa nadaje, w stosunku do mieszczan polskich, chłopów polskich, robotników, pomijając już i zbyteczny i niepoważny ich udział w kuryi wielkiej własności, dokonany jedynie chyba dla zaznaczenia ich obecności choćby nienormalnej w każdej kuryi. Nie chodzi tu o tych paru, czy kilku posłów, ale chodzi o stwierdzenie, że przy uchwalaniu ustawy powodowano się nie zasadą słuszności równomiernej wobec obu narodów, lecz, po uznaniu i zastosowaniu systemu kuryalnego, zasadą uprzywilejowania żywiołu ruskiego w każdej kuryi z krzywdą polskiego.

2. Rusini otrzymali faktyczne uznanie odrębności ruskiej kuryi narodowej, co jest niesłychanie niebezpiecznym precedensem do dalszych ich zdobyczy w zakresie separacyi politycznego i żądanego przez nich podziału kraju.

3. Wszystkie te ich zdobycze, b. poważne, które zupełnie już odmiennie kształtować będą ich wpływ na politykę krajową, maleją wobec najważniejszej ich zdobyczy, wstydliwie przez prawie całą prasę polską tuszowanej i zakrywanej, a która decydować będzie o rozwoju naszej autonomii, mianowicie, że wraz z powiększeniem liczby ich mandatów do 27·2% a więc ponad 25%, nie został obniżony odpowiedni komplet, wymagany do zmian statutu krajowego. Rusini teraz będą mogli przez proste wyjście z sali, przez samą nieobecność, uniemożliwić wszelką zmianę statutu krajowego. Słusznie podnosiła znaczenie tego punktu dla sprawy narodowej „Rzeczpospolita“ (nr. 108), wskazując, że jest to jednoznaczne z wyrzeczeniem się najistotniejszych zasad dotychczasowych tradycyjnej naszej polityki w tem państwie.

A co uzyskali w tej ugodzie Polacy?

Nic, zgoła nic, poza zabezpieczeniem mandatów polskich mniejszości wiejskich na wschodzie, dotychczas zdanych na niepewne losy walki wyborczej. Natomiast dużo stracili. Stracili ze swego dotychczasowego stanu posiadania, odpowiadającego układowi sił społecznych:

1) słuszny swój udział w kuryach poszczególnych na rzecz Rusinów, jak to wskazano wyżej;

2) stracili dotychczasowy charakter Sejmu, który przestaje być polskim w tej mierze, jak był dotąd, a staje się polsko-ruskim z faktyczną preponderancyą mniejszości ruskiej, która wnet po uchwaleniu reformy wyborczej już w obecnym Sejmie dawała odczuć dotkliwie większości polskiej, że ona faktycznie Sejmowi dyktuje przedmiot rozpraw i tok postępowania;

3) stracili możność rozwoju na gruncie narodowym autonomii kraju, uzależnili ją całkowicie od woli Rusinów, którzy są zasadniczymi jej przeciwnikami, a sługami centralistycznego ustroju i rządu.

Jest to więc nie ugoda, tylko likwidacya naszego narodowego stanu posiadania, likwidacya znacznej części planów naszego narodowego odrodzenia w tej dzielnicy, likwidacya, o której nie chce się mówić, nie chce się jej przyznać, ale która naszymi własnymi głosami dobrowolnie uchwalona została. Jest ona niewątpliwą klęską narodową.

Czy ta klęska była konieczną, nieuniknioną? Czy, godząc się na przyznanie Rusinom większego, aniżeli na to pozwalał realny układ ich sił społecznych, udziału ilościowego w Sejmie, godząc się nawet na niebezpieczną dla charakteru polskiego Sejmu ich kuryę narodową, nie można było z tej ugody wynieść nie żadną już zdobycz, ale zabezpieczenie przyszłego rozwoju naszej autonomii, co było dotąd prawnie nam przyznane? Czy istotnie układ naszych sił narodowych w stosunku do Rusinów znajduje się w stałej depresyi i w stopniowym zaniku? Czy na podstawie zawartej „ugody“ można liczyć w przyszłości na dalsze współdziałanie Rusinów we wspólnej pracy dla rozwoju kraju i że już nic z tego, co posiadamy słusznie, odebrane nie zostanie?

To są pytania, które myśl polska polityczna musi stawiać przed sobą, nie może ich pomijać, nie może stawać na gruncie załatwienia tyko bieżących interesów, z tem, aby był jakiś choćby pozorny „spokój“ w kraju, aby Wiedeń był z nas zadowolony, co stanowiło hasło dotychczasowej naszej polityki.

Jakkolwiek wielu naszym politykom, przyzwyczajonym do utartej drogi zwykłych kompromisów, może się wydawać myśl zabezpie-

czenia ustawowego rozwoju naszej autonomii zuchwałą, niepodobna z góry uważać realizacyi jej za wykluczoną. Nie było przecież z naszej strony żadnych prawie poważnych wysiłków, ażeby ustępstwa Rusinom w dziedzinie przedstawicielstwa sejmowego złączyć jako nierozłączne junctim z ustawowem zabezpieczeniem naturalnego rozwoju naszej autonomii, zdobytej przez nas przed laty 50-ciu bez udziału Rusinów, nawet wbrew im. Przerażała nasze miarodajne sfery myśl podjęcia walki o rozszerzenie autonomii przeciw Rusinom, a zapewne też i przeciw Wiedniowi. Podziwiać umiano pomimo wybuchów oburzenia, bezwzględność ruską w traktowaniu parlamentu i rządu centralnego, widziano w tem rosnącą groźną siłę, z którą rachować się coraz bardziej należy, ale nie umiano wysnuć z tego odpowiednich dla naszej taktyki politycznej konsekwencyi. Pozostaliśmy jak byliśmy, „kawalerami“ w polityce, wzdrygającymi się przed wszelkiem ostrzejszem postawieniem obrony naszego narodowego stanowiska.

Wypływało to przeważnie nietylko z naszej przyrodzonej miękkości i tradycyjnej niezaradności, lecz również i z niedoceniania naszych własnych sił, a przeceniania ruskich. To też 30 głosów ruskich w parlamencie wobec rządu zawsze w ostatnich latach znacznie większy respekt budziło, bo za nimi szła bezwzględność i zacietość chłopska, aniżeli 70 głosów polskich. Suggestya ta o naszej „słabości“ a o „sile“ ruskiej szła z góry.

Teraz dopiero ocenić w całej pełni możemy, gdy okiem wstecz na zamknięty zdaje się okres polityczny ery Bobrzyńskiego rzucimy, co moralnej szkody sprawie narodowej pod względem osłabienia naszej energii społecznej i narodowej ta era wyrządziła. Gdy każda skarga ruska na rzekome krzywdy, gdy każde, choćby najmniej usprawiedliwione żądanie ruskie było skwapliwie i chętnie uwzględniane, gdy nieraz kandydat ruski na jakąkolwiek posadę, bez względu na to, czy i ile był wart, miał pierwszeństwo przed polskim, a z drugiej strony, gdy te same rzeczy z polskiej strony przedstawiane, przyjmowano z lekceważeniem, bo za niemi nie szedł się ujmować bezwzględny, nie cofający się przed niczem, jak ruski, upór, to nic dziwnego, że ta suggestya musiała w szerokich kołach polskich być uznawana, jako fakt nieodporny stwierdzający naszą niższość, naszą słabość wobec Rusinów.

Nadawano mylnie wyższe rozmiary siłom ruskim, jakich faktycznie jeszcze nie posiadały i nie prędko w stosunku do nas posiadać mogą, a zmniejszano sztucznie nasze. Mogło się stąd wydawać na zewnątrz, że to nie Polacy, lecz Rusini są istotnymi gospodarzami kraju, że to nie Polacy, lecz Rusini posiadają stosunkowo większość własności ziemi, większość przedsiębiorstw, większość kas oszczędności, spółek, towarzystw, szkół i innych instytucyi kulturalnych i gospodarczych, że nie Polacy, lecz Rusini przedstawiają większą siłę podatkową i wojskową, że to nie Polacy, lecz Rusini są narodem o 1000-letniej kulturze, opartym o uświadomione pod względem narodowym inne zakordonowe dzielnice, a nie miazgę etniczną, z której nie wiadomo, czy ma wyjść rosyjski, czy inny element.

Mieliśmy i mamy przecież wciąż przed oczyma nieustanną skuteczną dotychczas walkę Czechów w obronie prawno-państwowej jedności Królestwa Czeskiego przeciw szalonym, natarczywym zabiegom Niemców, stanowiących wszakże o wiele silniejszy żywioł w państwie, aniżeli Rusini, rozporządzających olbrzymimi wpływami w niemieckiej dynastyi, w centralistycznie usposobionym niemieckim rządzie, armii, przewagą ogromu kapitału i sił umysłowych i kulturalnych, opartych o wielkie narodowe państwo niemieckie. I Czesi w tej obronie swego prawno-państwowego dziejowego stanowiska nie cofają się przed użyciem wszelkich środków kulturalnych obrony i unieruchamiają parlament, grzebią dziesiątki ministeryów, nawet godzą się na zawieszenie konstytucyi krajowej, bo czują, że ustąpiwszy raz dla świętej zgody, muszą się dalej godzić na powolną likwidacyę tego co zdobyli, co mają.

W tej walce dziejowej, którą prowadzą z dawien dawna narody między sobą i prowadzić będą zawsze, nie wolno być tylko „kawalerami“ unikającymi bezwzględnych, naturalnie kulturalnych, środków obrony, jakie dana sytuacya i sposób walki przeciwnika narzuca. I my z tą metodą ciągłych ustępstw, ciągłych cofań w sprawie ruskiej musimy zerwać nareszcie, bo rezultatem koniecznym musi być coraz dalsza likwidacya tego narodowego dobytku, któryśmy w spuściźnie dostali.

Stąd więc wszelkie optymistyczne przedstawienia zawartego porozumienia, jako trwalszej ugody regulującej na długo wzajemne stosunki polsko-ruskie, muszą pozostać i pozostaną tylko marzeniami, wskazującemi, jak bardzo polska strona pragnie „spokoju“ za wszelką cenę.

Doświadczenia dziejowe powinny nas pouczyć, że żadna ugoda nasza z Rusinami nie ostała się cało, wszystkie przez nich złamane zostały, każda z nich użyta została tylko jako stopień do zdobycia nowej ugody z nowemi ustępstwami z naszego stanu posiadania. Ugoda Zborowska (1649), Białocerkiewska (1651), nawet Hadziacka (1658) tworząca osobne równorzędne Koronie i Litwie federacyjne państwo ruskie w Rzeczypospolitej, zostały przez Rusinów zerwane. To z czasów polskich. A z współczesnych już w naszej dzielnicy ani ugoda Ławrowskiego (1869) ani ugoda Badeniowska (1890) dotrzymane przez nich nie zostały, a tylko wyzyskane jako środek do dalszej skuteczniejszej z nami walki.

Dziś zaś znów powoływać się na oświadczenia renegata polskiego metropolity Szeptyckiego i prezesa klubu ruskiego Lewickiego, jakoby ożywione duchem pojednawczym, rokującym spokojną współpracę w przyszłości, jest tylko wskazaniem czego Polacy mają prawo żądać, ale złudzeń mieć nie należy. Słusznie podniosła „Rzeczpospolita“, że ze „spiskowcami tajnie knującymi wraz z największym naszym wrogiem z zewnątrz zgubę naszą, ze zdrajcami kraju, sprzymierzającymi się z wrogiem przeciw drugiej narodowości kraju, niema i nie może być żadnych układów“. A jednak były, a miękkość nasza i na to oczy zamknęła.

Musi być jednak koniec tym ciągłym ułudom i marzeniom na tle ugody. Musimy to wszyscy uznać i uświadomić sobie, że mamy i mieć będziemy do czynienia na tej ziemi naszej z nieprzejednanym wrogiem, że dalsze ustępstwa z tego, co posiadamy, to tylko coraz szybsza likwidacya majątku narodowego, na którym tylko krzyż postawić potrzeba. A żadne realne fakty do tego nas nie skłaniają. Rośniemy społecznie i narodowo w siły. Przyrost ludności polskiej w Galicyi wschodniej jest większy, niż ruskiej. Nasze siły gospodarcze, ujęte w całym szeregu zrzeszeń ekonomicznych i kulturalnych nie maleją, ale powoli, nie tak wprawdzie szybko jakby należało, rosną. Rosną i ruskie, ale rosną i nasze. Niema więc powodu do rozpaczy, do zwątpienia, do zaniechania obrony tego, co mamy.

To też i uchwalona reforma wyborcza, przynosząca nam z naszej własnej winy ciężką klęskę likwidacyi naszego stanu posiadania, powinna być jak każda klęska narodowa punktem zwrotnym do zmiany naszego stanowiska w sprawie ruskiej, do wytężenia wszystkich sił narodowych w obronie naszej sprawy w kraju i w państwie. Czy nasze obecne stronnictwa staną na wysokości tego zadania, czy zechcą nie tylko chcieć, ale i czynić odpór roszczeniom ruskim, można mieć wątpliwości, sądząc po tem, co się stało, ale być może, przeciągnięcie struny, co niewątpliwie sprawią Rusini w najbliższym Sejmie, nawet najbardziej zaślepionym oczy otworzy. Contra spem speramus.

Gierałtowski.

Nowe wywłaszczanie w Landtagu.

Rząd pruski wniósł w Landtagu w obecnej sesyi projekt t. zw. ustawy o parcelacyi gruntów wiejskich.

Projekt ten obejmuje jednakowoż d w a przedmioty ustawodawstwa, nie mające z sobą nic w s p ó l n e g o, a obejmuje je razem dlatego, że przy ustawie o p a r c e l a c y i pragnie rząd przemycić ustawę o państwowem prawie p r z e d k u p u przy każdej wogóle sprzedaży ziemi, co jest nową postacią w y w ł a s z c z a n i a.

Dla nas groźne są obie ustawy sztucznie wtłoczone w jeden projekt.

Znaczenie i niebezpieczeństwo pierwszej zamierzonej ustawy o p a r c e l a c y i streszcza się w tem, że na każdą parcelacyę, przeprowadzaną przez jakiekolwiek przedsiębiorstwo parcelacyjne, trzeba mieć pozwolenie władzy politycznej. Wobec tego, że w ruchu zmian własności ziemskiej parcelacya jest w dzisiejszym rozwoju społecznym czynnikiem jednym z najważniejszych, koniecznym, nieuniknionym, uzależnianie jej od zezwolenia rządu jest oddaniem na jego łaskę i niełaskę swobody przenoszenia własności ziemskiej w całym dużym zakresie, gdzie odbywa się to w drodze parcelacyi. A gdy się doda, że spółki parcelacyjne głównie się przyczyniają do pośredniczenia w przechodzeniu ziemi polskiej w inne ręce polskie, to uzależnienie ich działalności od rządu czyli zmuszenie ich, gdy rząd zechce, wogóle do zaprzestania działalności, jest dla nas szkodliwe.

Znaczenie i niebezpieczeństwo nierównie większe drugiej wtłoczonej tu ustawy o p r z e d k u p i e streszcza się w tem, że na ziemiach polskich i duńskich przy każdej wogóle sprzedaży ziemi, a nie tylko parcelacyjnej, czy to małego obszaru od 10 ha począwszy czy wielkiego, przysługiwać ma państwu czyli komisyi kolonizacyjnej prawo przedkupu. Jest to oddanie każdej ziemi polskiej, która z tych czy innych powodów musi lub ma być sprzedana, do wolnej woli komisyi kolonizacyjnej. Ustawa o wywłaszczaniu może odebrać nam jakąkolwiek ziemię polską w każdej chwili, ale odbywa się to w sposób gwałtowny, naruszający człowieka spokojnie siedzącego w swoim majątku i nie chcącego się ruszać, wskutek czego stosowanie tej ustawy jest trudne, bo wywołuje wzburzenie. Zamierzona ustawa o przedkupie daje państwu prawo wywłaszczania każdej ziemi polskiej, która ma być sprzedana, a ponieważ chodzi tu o ziemię, którą właściciel i tak chce sprzedać, wygląda rzecz łagodniej i stosować się daje łatwiej, ale wynik jest taki, że właściciel sprzedawał w ręce polskie, nabyła zaś komisya kolonizacyjna. W tem jest groza tej drugiej ustawy, która, przytulając się skromnie do ustawy parcelacyjnej, jest zgoła czem innem. Istota jej i właściwa nazwa jest: p r a k t y c z n e u d o s k o n a l e n i e w y w ł a s z c z a n i a.

Byłby to zatem jeden z najgwałtowniejszych zamachów pruskiej polityki ucisku na polskość i jedna z najbezwzględniejszych ustaw wyjątkowych.

Dotychczasowy p r z e b i e g powstawania i wniesienia projektu był następujący.

Już w r. 1904, w czasie uchwalania ustawy osadniczej była mowa w Landtagu o stworzeniu ustawy, którąby ograniczyła parcelacyę spekulacyjną, a zatem ustawy rzeczowej celem zapobieżenia parcelacyi dzikiej i lichwiarskiej a nie ustawy obliczonej na ucisk narodowy. W ciągu następnych lat pracował rząd nad przygotowaniem przymusowego odbierania ziemi Polakom i ostatecznie w r. 1908 wniósł projekt ustawy o wywłaszczaniu. Wynika jednak z ówczesnych rozpraw Landtagu, że już wówczas zastanawiał się rząd nad tem, czy wybrać prawo przedkupu ziemi wystawionej na sprzedaż, czy też wywłaszczanie bez ograniczeń, które ostatecznie wybrał. Są wskazówki, że projekt ustawy parcelacyjnej istniał w rządzie już wówczas w r. 1908 i to jako ustawa wyjątkowa, dotycząca tylko ziem polskich, podobnie jak ustawa o wywłaszczaniu, której miał to być równoważnik. W krótce potem w r. 1909 miejsce p. Bülowa jako kanclerza i pruskiego prezydenta ministrów zajął p. Bethmann Hollweg. Minister rolnictwa p. Arnim, który był zwolennikiem ostrych środków, pragnął dodać ustawę parcelacyjną do ustawy o wywłaszczaniu. Podobno jednak p. Bethmann Hollweg ociągał się z tem, nie chcąc mnożyć ustaw wyjątkowych. Zwlekano dalej, także gdy miejsce p. Arnima zajął w ministerstwie rolnictwa p. Schorlemer. Wówczas jednak zaczęły się poufne i publiczne w dziennikach szturmy Ost-

markenvereinu do rządu zarówno o zastosowanie ustawy o wywłaszczaniu, jak o wniesienie ustawy parcelacyjnej. Te zabiegi Ostmarkenvereinu są dzisiaj znane dzięki ujawnieniu jego archiwum. Wiadomo mianowicie, że w początku r. 1912 minister Schorlemer odpowiedział Ostmarkenvereinowi, że ustawę o wywłaszczaniu zastosuje (co się istotnie stało w czterech znanych wypadkach), prosił tedy, aby go więcej nie zaczepiano co do tej sprawy, natomiast, aby agitowano za ustawą parcelacyjną. Wiadomo również, że Ostmarkenverein, nie dowierzając ministrowi, powziął dnia 10 listopada 1912 uchwałę, by wystąpić przeciw niemu przez zwrócenie się do „nr. 61“ i do „nr. 58“ t. j. do kanclerza i do cesarza. Ostatecznie rząd p. Bethmanna Hollwega wygotował w ciągu r. 1913 projekt, który o tyle czyni zadość niechęciom kanclerza do ustaw wyjątkowych, w jednej swej części, że obejmuje całość Prus, czyli że ma pozory ustawy niewyjątkowej, ale tylko pozory, bo część artykułów ustawy ograniczona jest do ziem objętych uciskiem, a stosowanie całej ustawy będzie oczywiście zwrócone tylko przeciw Polakom i częściowo Duńczykom, jako prawo wyjątkowe.

Dnia 7 stycznia 1914, otwierając sesyę Landtagu, odczytał p. Bethmann Hollweg mowę tronową, która na ostatniem miejscu krótko wspomina o wniesieniu w tej sesyi ustawy o parcelacyi, nie mówiąc nic o przedkupie.

„W końcu zajmować się panowie będziecie projektem ustawy o podziale gruntów, przeciwdziałającej szkodliwemu gospodarczo rozdrobnieniu pewnych gruntów i ułatwiającej kolonizacyę wewnętrzną“.

W tem niewinnem brzmieniu, a najwyżej nieco niepokojącem końcową wzmianką o ułatwianiu kolonizacyi wewnętrznej, zapowiedział król pruski jeden z najbezwzględniejszych gwałtów, znowu łamiący przyrzeczenie i przysięgi przez królów pruskich złożone.

Jeszcze wówczas nie wiedziano na pewne, co to będzie za projekt, czy prawa rzeczowego czy prawa wyjątkowego, i pisma poznańskie, omawiając mowę tronową, dawały wyraz tej niepewności.

Dnia 4 marca 1914 wręczono projekt członkom Landtagu i wtedy sprawa stanęła już jasno, wywołując w społeczeństwie zaboru pruskiego i jego pismach głos grozy, oburzenia, skupienia się na nowe walki.

Dnia 19 20 i 21-go marca projekt wszedł pod obrady Landtagu i odbyła się rozprawa nad nim w pierwszem czytaniu. Przedstawił projekt minister rolnictwa br. Schorlemer Lieser, obronę jego w ciągu rozprawy podejmowali nadto minister spraw wewnętrznych p. Dallwitz i minister sprawiedliwości Beseler. Przemawiali również przedstawiciele wszystkich stronnictw. Ze strony polskiej w znakomitej mowie oświetlił projekt pos. Trąmpczyński. Za projektem rządowym oświadczają się narodowo-liberalni (pos. Ecker i pos. Wachhorst) i wolno-konserwatywni (pos. bar. Zedlitz Neukirch, czyli razem 126 głosów. Przeciw głównym ostrzom projektu obok Polaków oświadczają się centrowcy (pos. bar. Reitzenstein i pos. Riehl), wolnomyślni (pos. Baerwald), socyaliści (pos. Braun) i Duńczycy (pos. Nissen) t. j. razem 155 głosów. Chwiejne stanowisko zajmują konserwatyści (pos. Kries), bo zastrzegają się przeciw prawu przedkupu, ale równocześnie mówią o gotowości do ofiar na rzecz ojczyzny, t. j. 150 glosów, które rozstrzygną. Landtag liczy 443 posłów. Po rozprawie ogólnej odesłano projekt do komisyi złożonej z 28 członków, w której zasiada z naszej strony p. Trąmpczyński i która obecnie zajmuje się szczegółowem rozpatrywaniem.

Najważniejsze postanowienia projektu znajdują się w dwu pierwszych jego działach.

Pierwszy dział projektu. ograniczający swobodę parcelacyi, ujęty jest w 11 paragrafach, które stawiają przedsiębiorstwom parcelacyjnym dwojakie utrudnienia: konieczność przyzwolenia władzy (§§ 1—9) oraz udzielenie tym, którzy sprzedają ziemię przedsiębiorstwu parcelacyjnemu, prawa odstąpienia od kontraktu do tygodnia (§§ 10—11).

Najistotniejszy w tej sprawie ustęp 1-szy § 1-szego brzmi:

„Kto zawodowo uprawia handel gruntami ziemskimi lub zawodowo pośredniczy przy nabywaniu lub sprzedaży gruntów, nie może przedsiębrać parcelacyi posiadłości ziemskiej czy leśnej lub w niej pośredniczyć bez przyzwolenia prezesa regencyjnego“.

Powody, dla których prezes regencyi może odmówić zezwolenia określa § 4-ty:

„Wymagane według § 1-szego przyzwolenie ma być odmawiane tylko wówczas, jeśli parcelacya nie da się pogodzić z podziałem własności gruntowej, wymaganym ze stanowiska interesów ogólno-gospodarczych, szczególnie też z celami popieranej przez państwo kolonizacyi wewnętrznej“.

Znaczy to, że prezes regencyi nie tylko może ale nawet ma obowiązek odmówić zezwolenia na każde parcelowanie ziemi polskiej między nabywców polskich, bo sprzeciwia się to celom kolonizacyi, która zmierza do osadzenia tam nabywców niemieckich!

Apelacya jest taka jak żadna wedle ust. 5. § 5-go:

„Przeciwko orzeczeniu, odmawiającemu przyzwolenia, dopuszczalna jest apelacya w ciągu dwu tygodni po jego wręczeniu do naczelnego prezesa, a decyzya naczelnego prezesa jest ostateczną“.

Jest to zatem odesłanie od Annasza do Kaifasza bez żadnej wartości rzeczywistej.

Przepisy wiążą przedsiębiorców parcelacyjnych bardzo ściśle i uniemożliwiają jakiekolwiek sposoby uboczne, bo w ust. 2-gim § 1-go mówi się:

„Parcelacya uchodzi i wówczas jako dokonana przez przedsiębiorcę handlującego ziemią, jeśli ją podejmuje w cudzem imieniu, na cudzy rachunek lub na spółkę z osobą trzecią, albo przez trzecią osobę w swojem imieniu, lub też jeżeli przedsięwziąć ją każe przez handlującą na własny rachunek trzecią osobę“.

Jednem słowem o jakiemkolwiek podstawieniu kogoś mowy być nie może.

Kary za ominięcie przepisów są bardzo wysokie, bo od 100 marek do 1000 marek, lub więzienie.

Drugie utrudnienie działalności przedsiębiorstw parcelacyjnych, obok konieczności zezwolenia władzy, leży w tem, że jeśli kto sprzedał takiemu przedsiębiorcy, może po tygodniu zrzucić się z kontraktu, jak postanawia § 10:

„Kto się zobowiązał przelać swoje prawo własności na posiadłości ziemskiej lub leśnej na przedsiębiorcę handlującego ziemią, może odstąpić od kontraktu w ciągu tygodnia po zawarciu“.

I tu również jakiekolwiek podstawienie jest niemożliwe, bo obowiązują wymienione przepisy ust. 2-go §-u 1-go.

Jest to znowu wymierzone przeciw spółkom parcelacyjnym polskim (bo spółki niemieckie na kresach i oczywiście komisya kolonizacyjna są wyjęte z pod tego przepisu jako służące dobru publicznemu wedle rządu). Wiadomo mianowicie, że nieraz taka spółka polska nabyć może grunt z rąk niemieckich, czem się równoważą dla nas straty z rąk polskich w niemieckie. Otóż ten tydzień jest na to, aby w takich wypadkach wkroczyli Niemcy i kontrakt zerwali.

Tak się przedstawia pierwsza grupa postanowień, ograniczająca swobodę parcelacyi.

Pod względem prawnym nie tylko ze strony polskiej, ale także ze strony centrum i wolnomyślnych podniesiono zarzuty przeciw tym przepisom. Przedsiębiorca parcelacyjny jest tu zdany na łaskę i niełaskę władz, nie tylko w wypadkach parcelacyi społecznie szkodliwej, ale, o ile chodzi o przedsiębiorcę polskiego, w każdym wypadku, co jest uzależnieniem od władzy i ograniczeniem swobody handlu, bardzo odbiegającem od ducha wolności prawnej. Podobnie dopuszczenie zrywania kontraktów, zawartych notaryalnie przez jedną stronę, jest znowu zachwianiem pojęć prawnych o kontrakcie i narażeniem drugiego kontrahenta na to, że cały jego zachód i cały jego koszt w takiej sprawie pójdzie na marne. Wszystkie te rażące nowości prawnicze są aż nadto widoczne i Niemcom i nie pomyślanoby nawet o nich, gdyby nie chodziło o gniecenie Polaków.

Nowa ta ustawa parcelacyjna jest jednak tylko uzupełnieniem ucisku spółek parcelacyjnych polskich istniejącego już dzisiaj przedewszystkiem wskutek ustawy osadniczej z r. 1904. Utrudnia ona budowanie nowych osad (budynków mieszkalnych i gospodarczych), uzależniając je od zezwolenia władzy. Władza zaś nie dawała takiego pozwolenia nabywcom parcel polskim. Wskutek tego spółki nasze musiały ograniczać się tylko do parcelacyi gruntów przylegających do gospodarstw już istniejących. Gdy chciały tworzyć nowe osady, władze nie pozwalały na budowanie i tak to powstał wóz Drzymały lub nora młynarza w Długimmoście, wykopana w ziemi dla rodziny, złożonej z 16 członków.

Te utrudnienia parcelacyi polskiej już uwidoczniły się znacznem zmniejszeniem ruchu parcelacyjnego na ziemiach polskich. Przed laty 25 lub jeszcze 15 ruch ten był silny i dlatego jeżeli wziąć pod uwagę cyfry za lat z górą 20, mianowicie 1890—1912, to są one wysokie: w Księstwie Poznańskiem i w Prusach Królewskich rozparcelowano ogółem 933.045 ha ziemi i utworzono z nich 90.595. nowych posiadłości. Jakżeż inaczej jednak wygląda ten ruch parcelacyjny w ostatnich latach! Spółek parcelacyjnych polskich było w r. 1912 nominalnie aż 31. Ale w ciągu r. 1912-tego 18 z tych spółek nie rozparcelowało ani hektara, zaś 13 pozostałych rozparcelowało razem 1.005 ha między 99 adjacentów, nie tworząc ani jednej nowej osady.

Ustawa obecna ma jeszcze mocniej zacieśnić kluby, w które już ujęto nasze spółki parcelacyjne, czyli poprostu zupełnie uniemożliwić ich działalność i ich istnienie dla zostawienia wolnego pola Niemcom.

Drugi dział projektu, nadający prawo przedkupu państwu, nie tylko przy parcelacyi, ale wogóle przy każdej sprzedaży ziemi ponad 10 ha, zawarty jest w §§ 12—20, i tu właśnie tkwi rzecz najgorsza.

Wstęp tworzy § 12-ty, który wyraźnie nadaje tej ustawie znamię wyjątkowej, bo nawet terytoryalnie ją ogranicza:

„Celem popierania kolonizacyi wewnętrznej ogranicza się sprzedaż posiadłości ziemskich i leśnych, położonych w prowincyach wschodnio-pruskiej, zachodnio-pruskiej, brandenburskiej, pomorskiej, poznańskiej, śląskiej, saskiej, szlezwicko-holsztyńskiej i hanowerskiej na podstawie przepisów zawartych w następujących paragrafach 13—20“.

Znaczy to, że celem ustawy o przedkupie jest wydzieranie ziemi Polakom przedewszystkiem a w pewnej mierze i Duńczykom.

Samo zasadnicze prawo przedkupu zawarte jest w § 13-stym, ust. 1-szym:

„Przy zupełnej lub częściowej sprzedaży posiadłości rodzaju wyszczególnionego w § 12, mającej więcej niż 10 ha obszaru, przysługuje państwu wobec właściciela ustawowe prawo przedkupu. Przy sprzedaży części posiadłości obowiązuje to wówczas, jeżeli część ta sama w sobie lub z doliczeniem innych w roku przed zawarciem kontraktu sprzedanych części przekracza 10 h. Prawo przedkupu może być zastosowane z chwilą, gdy zobowiązany zawarł z osobą trzecią kontrakt sprzedaży dotyczący posiadłości“.

Znaczy to, że przy każdej sprzedaży majątku, przy każdem przejściu i jednej ręki polskiej w inną, może majątek zabrać państwo, a także częściowe sprzedaże poniżej 10 ha są uniemożliwione, bo możnaby sprzedać tylko 10 ha w ciągu roku.

Wyjątek stanowi jedynie sprzedaż między krewnymi do czwartego stopnia, bo wedle § 14-stego, wówczas prawo przedkupu jest wyłączone.

Zabezpieczenie jakiekolwiek w kontrakcie sprzedaży jest niemożliwe. Np. mógłby ktoś sprzedać Polakowi z zastrzeżeniem, że od niego nabyć może znowu tylko Polak. Otóż wszelkie takie zastrzeżenia lub obciążenia, jakiekolwiek by one były, zniesione są § 16-stym i § 18-stym projektu.

Wreszcie dla uchronienia majątku przed przedkupem mogliby kontrahenci wymienić w kontrakcie cenę wyższą znacznie niż rzeczywiście była, tak wysoką, by państwu nie opłaciło się wykonanie przedkupu. Ale i na to jest przepis. Mianowicie § 17-sty żąda przysięgi:

„Władza przez ministra do tego przeznaczona ma prawo na żądanie uprawnionego do przedkupu odebrać od sprzedającej i osoby trzeciej kupującej zapewnienie w miejsce przysięgi, iż kontrakt zawarty między nimi ujawniony został prawdziwie i zupełnie, a w szczególności, że treść kontraktu jest zgodną z rzeczywiście ustaloną umową“.

O tem postanowieniu powiedział poseł Trąmpczyński w Landtagu:

„Zdarzało się już, że kogoś ograbiono w lesie, ale żeby rabuś od ograbionego żądał jeszcze słowa honoru, iż wszystko oddał, jeszcze się nie zdarzyło“.

Nabyte przedkupem ziemie państwo może oczywiście odstępować np. komisyi kolonizacyjnej, lub odrazu przelać na nią prawo przedkupu, wedle § 13-stego ust. 2-go:

„Państwo może przelać prawo przedkupu na związki komunalne, towarzystwa kolonizacyjne, służące ogólnemu pożytkowi lub na podobne instytucye“.

Takie są postanowienia o przedkupie.

Już same praktyczne, gospodarcze, oddziaływanie tej ustawy jest ogromnie doniosłe. Ktoś chce kupić duży majątek. Gromadzi potrzebne kapitały własne i pożyczone. Kupuje i sporządza kontrakt. Wtedy państwo korzysta z prawa przedkupu. Cały trud jego i koszt zgromadzenia kapitału idzie na marne. Kto w takich warunkach narazi się na kupowanie ziemi? Jest to unieruchomienie własności ziemskiej.

Pod względem prawnym wprowadzenie przedkupu natyka się na poważną trudność: jest to bowiem s p r z e c z n e z u s t a w ą R z e s z y o swobodzie osiedlania, gwarantującej zupełną wolność nabywania ziemi, wskutek czego odebranie przez państwo ziemi komuś, kto ją nabył, jest niedopuszczalne.

Tę trudność uznawał także rząd pruski jeszcze w r. 1908. Mianowicie w czasie rozpraw nad ustawą o wywłaszczaniu w Landtagu poruszono myśl, aby zamiast wywłaszczania wprowadzić przedkup. Wówczas jednak minister sprawiedliwości złożył następujące oświadczenie:

„Rząd państwowy zastanawiał się poważnie nad kwestyą przedkupu, powstały wszelako poważne wątpliwości, czy prawo Rzeszy pozwala na podobną ustawę. Wobec tych wątpliwości zwróciło się ministerstwo do cesarskiego urzędu sprawiedliwości (Reichsjustizamt), który wydał uzasadnioną opinię, wykazującą, iż ustanowienie prawa przedkupu dla państwa pruskiego byłoby nieprawnem i sprzecznem z ustawodawstwem Rzeszy. Rząd pruski uznał słuszność tej opinii i dlatego nie może być mowy o zaprowadzeniu przedkupu“.

To samo zdanie o niezgodności prawa przedkupu z ustawodawstwem Rzeszy wypowiada obecnie cały szereg prawników i pism niemieckich. Pos. Trąmpczyński rozdał w Landtagu jedną z rozpraw znanego profesora prawa prof. Jellinka, z której wynika, że przedkup wobec ustaw Rzeszy jest niedopuszczalny. Wszyscy niemal mowcy w Landtagu uznawali to za pewne, a odpowiedzi ministrów były tak nieudolne, że przerywano im w ciągu mowy.

Ale i ta trudność może nic nie znaczyć, boć i ustawa o wywłaszczaniu także była takiem nadużyciem, a jednak dokonano jej.

Ustawa ta jest nadto najzupełniej widocznem p r a w e m w y j ą t k o w e m wymierzonem przeciw Polakom a w części przeciw Duńczykom, jak świadczy ograniczenie terytoryalne i oddanie przekupu na usługi kolonizacyi.

Ponieważ zaś rząd to właśnie chciał zakryć i dlatego przyczepił tę ustawę do ustawy parcelacyjnej, więc wytknął to bardzo wyraziście p. Trąmpczyński:

„Obecny prezes ministrów, obejmując swe obowiązki, miał powiedzieć, że w przyszłości trzymać się będzie słów Cavoura: „Zapomocą ustaw wyjątkowych każdy osioł ume rządzić, zachodzi tylko pytanie, jak długo“. Pan Bethmann-Hollweg miał powiedzieć, że nie będzie wnosił żadnych ustaw wyjątkowych. Należało się więc spodziewać, że pod jego rządami podobna ustawa wyjątkowa nie zostanie wniesiona. Ale zadowolił się tem, że projektu obecnego nie podpisał. Widocznie za jego radą wydano hasło: trzeba udawać, że nie chodzi o ustawę wyjątkową!“

Porównać ten projekt pruski można tylko z ukazem rosyjskim, który zabraniał kupowania ziemi na Litwie i Rusi komu innemu jak prawosławnym. Polacy w tych krajach nie mogli sprzedawać rodakom, więc, poza wyjątkami nie sprzedawali nikomu. Ustawa pruska byłaby jeszcze gorsza, bo Polak sprzedaje Polakowi, a wtedy rząd zabiera. Co więcej: po wprowadzeniu konstytucyi w Rosyi w r. 1905 prawo wyjątkowe to zostało zmienione na łagodniejsze, a konstytucyjne Prusy w r. 1914 wprowadzają takie prawo.

Wiadomości polityczne.

O poglądy Rzeczypospolitej.

Zamieszczone w nr. 73-cim „Dziennika Poznańskiego“ uwagi o „Rzeczypospolitej“ skłoniły jednego z wydawców naszego pisma, p. Strońskiego, do przesłania „Dziennikowi Poznańskiemu“ następującego listu:

Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule p. t. „Literatura niepodległościowa“, nadesłanym do „Dziennika Poznańskiego“ (29 marca 1914) z Krakowa, jest mowa i o stanowisku politycznem „Rzeczypospolitej“, do której wydawców, jak tam zaznaczono, także i ja należę. Autor artykułu bynajmniej nie okazuje szczególnej nieżyczliwości dla naszego pisma. Tem chętniej zwracam się do Pana Redaktora i do Szanownego Autora z prośbą o ogłoszenie paru uwag, które przyczyniają się do dokładniejszego przedstawienia czytelnikom „Dziennika Poznańskiego“ naszego stanowiska.

1. Co do pojmowania pracy dla niepodległości zestawia autor „Rzeczpospolitą“ zupełnie z postępowo-socyalistyczną „Krytyką“, mówiąc:

„Sens obu Leitmotiwów jest identyczny: dość już pracy organicznej, czas uderzyć w czynów stal!“

Właśnie niedawno, w nr. 114-tym „Rzeczypospolitej" z d. 21 lutego r. b., ukazał się artykuł pod tytułem „Niepodległość i całokształt prac dla niej", którego myślą przewodnią, jak już tytuł wskazuje, jest nie co innego jak wystąpienie przeciw pojęciu, że dążenie do niepodległości może się zamknąć w jednem haśle, n. p.: skarb i wojsko, dzisiaj rzucanem, ale musi ogarnąć wszystkie dziedziny życia narodowego, a więc i to, co nazywa się pracą organiczną:

„Wielkiem laboratorym — pisze „Rzeczpospolita" — moralnych i materyalnych sił narodu jest jego gospodarka wewnętrzna: dziedziny nauki, piśmiennictwa, oświaty, wychowania narodowego, obrony przed rusyfikacyą i germanizacyą, rolnictwa, przemysłu, handlu, związków zawodowych, kooperatyw i t. d. Polityce niepodległościowej nie wolno wprost olbrzymiego tego obszaru pracy zostawiać obojętnie na uboczu, lekceważyć lub pozwolić, by ruch w nim osłabł, by ognisko wytwórczości przygasło. Śmieszna jest cała ta dziecinna pogarda dla wszystkiego, co nie jest pracą wojskową".

Zdaje mi się tedy, że nie można twierdzić, jakoby hasłem „Rzeczypospolitej" było: dość już pracy organicznej!

2. Odnosi się również do „Rzeczypospolitej" zarzut autora:

„Z taktycznych względów brata się z żywiołami między- i antynarodowymi".

Bardzo niedawno, bo w nr. 115-tym z d. 7 marca r. b., miało pismo nasze sposobność w zasadniczym artykule określić krótko swój pogląd w tej sprawie:

„Jakaż jest łączność — pisze „Rzeczpospolita" — między hasłami narodowemi obozu socyalistyczno-postępowego, dzisiaj tak głośnemi, a jego rzeczywistą codzienną polityką, na każdym kroku sprzeczną z dobrem narodowem i spoistością narodową?"

Brataniem się chyba to nie jest.

3. Ostatni wreszcie, a najważniejszy zarzut przeciw kierunkowi naszego także pisma jest:

„Zahipnotyzowany niebezpieczeństwem rosyjskiem, przymyka oczu na niebezpieczeństwo pruskie".

Wiadomo, że o tych sprawach najwięcej się mówiło zimą r. 1912, kiedy zanosiło się na wojnę między państwami zaborczemi. Pogląd swój wypowiedziała wówczas „Rzeczpospolita" w artykule p. t. „Oryentacya" w nr. 87-ym z dnia 7 grudnia 1912. Na pierwszem miejscu jest tam mowa o Prusach. Z ustępu tego przytoczyć można tylko kilka zdań, dostatecznie wyrażających nasz pogląd:

„Starym i stałym — pisze „Rzeczpospolita" — od wieków i po dziś dzień, wrogiem naszym są Prusy. Prusy są spadkobiercami tytysiącletniego parcia żywiołu niemieckiego na wschód i walki z państwem i narodem polskim, który stał na zawadzie... Napór ciągle się wzmaga. Żeby cały świat się oburzał Prusy robią swoje... Prusy uczynią wszystko, co będą mogły, z Austryą czy przeciw Austryi, nie zawahają się przed porozumieniem z Rosyą, byle nas jak najgłębiej pogrążyć. Może nie wszystko będą mogły po nowej wojnie europejskiej. Ale jeżeli z wojny wyjdą zwycięsko, w całej pełni powtórzyć trzeba będzie słowa Adama Potockiego na wiadomość o Sedanie: zimno będzie w Europie. Zimno przedewszystiem dla sprawy polskiej. To jest pewnik. I dlatego wszelka oryentacya, która nie dość się liczy z niebezpieczeństwem pruskiem, jest na złej drodze".

Sądzę, że pismu, które taki ma pogląd, nie można zarzucać, iż przymyka oczu na niebezpieczeństwo pruskie.

Kończąc, proszę, by Pan Redaktor łaskawie przyjął wyrazy prawdziwego szacunku

Stanisław Stroński.

Ś. p. Włodzimierz Rużycki de Rosenwerth.

Włodzimierz Rużycki urodził się w r. 1837 w ziemiańskim domu w Lubelskiem. Kończył gimnazyum w Lublinie. W r. 1863 utworzył oddziałek i poprowadził go do partyi Czachowskiego. Po wyjściu zagranicę pod koniec powstania, pragnąc zarobić na życie, wszedł jako robotnik do fabryki broni w Neuhausen i tam doszedł do stopnia werkmistrza. Osiadł następnie koło r. 1870 w Monachium i zajął się kupnem i sprzedażą dzieł sztuki i starożytności i nabył dużego doświadczenia w tym zakresie. Przyjaciółmi jego i towarzyszami byli malarze polscy, którzy w owych latach licznym zastępem przepływali przez Monachium, jak Gierymski, Wojciech Kossak, Wierusz Kowalski, Chełmoński i wielu innych. Zarazem brał udział w życiu całej emigracyi polskiej zagranicą i widać n. p. z listów Agatona Gillerą, że zażywał szacunku dla swej prawości.

W r. 1887 sprowadził go hr. Władysław Plater, założyciel polskiego Muzeum Narodowego w Rapperswilu, na stanowisko kustosza po Radzimińskim. Rużycki nie miał teoretycznego wykształcenia w zakresie znawstwa sztuki, miał tylko doświadczenia i znajomości, wyrobione w zawodowem kollekcyonerstwie. Z tego powodu musiały być w pracy jego błędy. Ale bardziej niż błędy wybijało się bezgraniczne poświęcenie i ukochanie, z jakiem oddał się on temu Muzeum. Porzucił dla niego lepsze znacznie dochody, pracował z początku za 100 fr. miesięcznie i po 25 latach doszedł do 250, a dawne oszczędności i oszczędności jeszcze z tej płacy, bo żył jak pustelnik, oddawał na cele Muzeum.

Po wieloletniej pracy doczekał się kustosz Rużycki ciężkich chwil. W r. 1911 ukazały się ostre natarcia na zarząd Muzeum w dziennikach i broszurach. Zarzucano zarządowi, a przedewszystkiem kustoszowi, nie tylko nieumiejętność, ale nawet pastwienie się nad zbiorami, niszczenie ich, złośliwość i nawet nieuczciwość. Zarząd Muzeum powołał wówczas komisyę, która w sierpniu 1911 zbadała zarzuty na miejscu w Rapperswilu i wydała szczegółowe orzeczenie, ogłoszone drukiem. Komisya uznała, że kustosz Rużycki nie ma wykształcenia dostatecznego i wypowiedziała zdanie, że obok niego potrzebny jest inny kierownik Muzeum. Zarazem jednak orzeczenie komisyi wykazuje, sprawa po sprawie, jak niesłusznie piętrzono zarzuty i mówi, że „gdy tego człowieka za jego ofiarność, poświęcenie i pracę sponiewierano bezwzględnie na całą Polskę, wyrządzono mu ciężką krzywdę i nie postąpiono godnie".

W myśl orzeczenia komisyi Rada Muzeum powołała nowego kierownika, który miał pracować razem z dotychczasowym kustoszem, ale Rużycki usunął się już skołatany tą przeprawą i poszedł z ukochanej instytucyi.

Umarł w Baden w Szwajcaryi 21 lutego 1914 r.

W niewiele miesięcy po sądzie rapperswilskim, 2 sierpnia 1911, ukazała się powieść Stefana Żeromskiego pod tyt. „Uroda Życia“, w której znajduje się sąd nad księdzem Wolskim. Podobno autor powieści, który był w Rapperswilu w czasie prac komisyi jako jeden z oskarżycieli Rużyckiego, utrwalił tu niektóre swoje wrażenia. Skierowane są one przeciw sędziom w powieści. Ale kto jest ten ksiądz Wolski? Ten ksiądz, pracujący dla wiary i dla polskości na Podlasiu, który chodzi w wyświeconych szatach i w dziurawych butach, a którego oskarżono, że przywłaszczył sobie pieniądze, dane mu na robotę narodową, przeciw czemu trudno mu było bronić się, bo nie umiał porządnie pisać rachunków. Jako żywo, jeżeli jest jakie podobieństwo, to między tym księdzem Wolskim a tak jak on wystawionym pod pręgierz kustoszem Rużyckim, który nieumiejętnie ale z całej duszy służył ukochanej instytucyi emigracyjnej polskiej i jej żołnierskim pamiątkom.

Policya pruska.

Coś psuje się w państwie „bojaźni Bożej“. Herr Wachtmann, ów nieugięty stróż sprawiedliwości, ów cerber pruskiego prawa, uosobienie cnót germańskich, ów niedościgniony symbol ładu i porządku — nagle strącony został z piedestału. Po tylu latach uczciwej pracy, ad majorem Prussiae gloriam, powiedziano mu bez ogródek, że jest oszustem, szantażystą, łapownikiem i handlarzem żywym towarem. I powiedziano mu to nie na jakimś wiecu socyalistycznym, i nie na szpaltach jakiegoś bawarskiego blatt'u, ale powiedziały mu to bez krzty litości sądy pruskie w Kolonii, w Essen, w Bytomiu, powiedział mu to Landtag berliński. A druty telegraficzne rozniosły po całym świecie tę nową o nim opinię i Herr Wachtmann został skompromitowany doszczętnie, do cna! Pocieszyć się jeno tem może, że to o czem świat wie cały, nie dotrze do uszu Michałka, którego nie obchodzi nic, co poza rogatkami miasteczka się dzieje:

...Sie mögen sich die Köpfe spalten,
Mag alles durcheinander gehn;
Doch nur zu Hause bleibt's beim Alten.

Ale pociecha to niewielka, bo rzeczy, które wyszły na jaw, są istotnie wielkie. Opowiadano o nich szeroko w Landtagu w ostatnich obradach nad budżetem ministerstwa spraw wewnętrznych. Przypomiano tam zeszłoroczne tryumfy policyi pruskiej w Kolonii i w Essen, gdzie zakwitło w szeregach policyjnych od wachmistrzów do radców policyjnych szpiegostwo i prowokatorstwo, łapownictwo i wymuszanie, przekupstwo i bratanie stę ze zbrodniarzami. Ale najpiękniejszem kwieciem w tym ogródku policyjnym jest policya w Mysłowicach.

Proces, który niedawno odbył się w Bytomiu, dał obraz obyczajów policyi pruskiej tak ohydny i wstrętny, obnażył taką zgniliznę moralną, że doprawdy uwierzyć trudno, aby w państwie „bojaźni Bożej“ wśród podpór tego państwa takie rzeczy dziać się mogły.

A jednak istotnie się działy. W Mysłowicach, małej mieścinie śląskiej, dla procederu tam uprawianego usytuowanej jak najlepiej, bo w tak zw. „Dreikaiserecke“, na pograniczu trzech mocarstw, mieszkał niejaki Weichmann, żyd, agent linii okrętowej Hamburg-Ameryka; mieszkał tam niejaki Lubelski, także żyd, jego prawa ręka, który miał interesującą przeszłość, bo w Rosyi za różne zbrodnie był skazany na zesłanie, skąd uciekł, a z granic Austryi był wydalony za stręczenie do nierządu, w Niemczech za to samo miał pobyt wzbroniony... ale mieszkał; przebywał tam także pan radca policyjny Mädler, mąż zasług niespożytych w śledzeniu agitacyi wielkopolskiej, idącej z Galicyi via Mysłowice do Vaterlandu pruskiego. Otóż ci trzej mężowie zawiązali cichą spółkę. Właściciel biura emigracyjnego Weichmann przy pomocy Lubelskiego i pod protektoratem wszechwładnego pana komisarza Mädlera napędzał setki tysięcy emigrantów swej hamburskiej firmie, która zarabiała na tym interesie miliony, sam zaś zbijał co roku krocie, ale i wspólnicy wychodzili nieźle: Lubelski miał zarobku rocznego do 60 tys. marek a pan Polizeirath także nie skarżył się na ciężkie życie, bo oto Freund Weichmann obsypuje go podarkami, wysyła go do Wiesbadenu, karmi a przedewszystkiem poi i często gęsto jakiś banknocik wsunie dyskretnie na bieżące wydatki.

I złoty interes szedł jak najlepiej, spółka prosperowała ku ogólnemu zadowoleniu. Zadowolenie było tak ogólne, że gdy naczelnik sąsiedniego powiatu będzińskiego w Królestwie, bar. Mirbach, zażądał od prezesa agencyi Opolskiej v. Schwerina wydalenia trzech handlarzy żywym towarem, grasujących w Mysłowicach, pan prezes zwierzył się Mädlerowi, że jest to rosyjska intryga na szkodę linii Hamburg-Ameryka. A gdy jakiś poczciwy komisarz policyjny w Mysłowicach Halemba widząc, iż ta cicha spółka oprócz handlu emigrantami wprost jawnie prowadzi handel żywym towarem, iż całe bandy agentów Lubelskiego ściągają tysiące dziewcząt z Królestwa i z Galicyi, a spółka wysyła je dalej via Hamburg do Argentyny, gdy ów poczciwina doniósł o tem, p. Weichmann udaje się wnet do dyrektora linii Ballina, tam mu przedstawia, że usunięcie Lubelskiego przyniesie towarzystwu straty milionowe, Ballin szuka protekcyi u p. ministra Dallwitza i p. minister każe Halembę z policyi wyrzucić. Rabin Winter, który surowo gromił w synagodze zbrodniczą szajkę, musi opuścić Mysłowice. I dalej już bez przeszkód przez lata całe uprawiał Lubelski z Weichmannem swój ohydny proceder. Mysłowice stały się, jak mówił prokurator na rozprawie w Bytomiu, główną bramą dla międzynarodowego handlu dziewczętami. Miasteczko zalała fala najciemniejszych indywiduów. W apartamentach Lubelskiego, w zajazdach i zaułkach mysłowickich działy się rzeczy straszne. Na to wszystko policya miała oczy przymknięte. Donosy i denuncyacye, które poczęły się sypać na Lu-

belskiego, szły nie do prokuratoryi, ale znajdowały się nazajutrz na biurku Weichmanna. Zato w restauracyi kolejowej było otwarte conto pod inicyałami M. W. i na to conto palili cygara, jedli i pili urzędnicy celni, kolejowi, pograniczni i policyjni, pili co dusza zapragnęła, pili zdrowie Weichmanna i braci Lubelskich, bo wkrótce zjechał z Buenos Ayres drugi braciszek, doświadczony długoletni pracownik w tem żydowsko-policyjnem rzemiośle. Tak że niczego nie brakowało tym pp. Mädlerom, Sellom, Dollom, i Wankom, tej całej zgrai radców, komisarzy i wachmistrzów policyjnych z Mysłowic i Katowic, na żołdzie handlarzy żywym towarem: „ein starkes Bier, ein beizender Tabak und eine Magd in Putz...“.

A ów Lubelski, zbijał fortunkę nie tylko na „procederze“, ale i na szpiegostwie: w Austryi na rzecz Rosyi, w Rosyi na rzecz Prus. Nic dziwnego, że był pupilem policyi pruskiej.

Aż wreszcie pewnego smutnego poranku noga się powinęła. Freund Lubelski znalazł się pod kluczem, skazany na 9 lat domu karnego. Firma Weichmanna ograniczyć musiała zarobki. Ale przekupnym, łajdackim, współwinnym w najnikczemniejszych zbrodniach, Wachtmannom pruskim włos z głowy nie spadł i zapene nie spadnie. Przecież p. Mädler ma łaski bardzo wysoko, przecież to on w czasie ostatniej wizyty cesarza Wilhelma u ks. Henckla na Śląsku Górnym, z polecenia rządu, składał osobiście „numerowi 58“ raport o niebezpieczeństwie polskiem, przecież on jest pierwszym sekretarzem śląskiego Ostmarkenvereinu, jest dostojnikiem w Krieger- i Flottenvereinie. Przecież sam p. burmistrz Mysłowic, niegdyś narodowo-liberalny kandydat na posła, także jest grubo w aferę Lubelskiego wplątany. Przecież perła hakatyzmu śląskiego, sam pan prezes regencyi, wiedząc o istnieniu Lubelskiego, wolał o tem nie wiedzieć. Przecież ów pan Weichmann to nielada patryota niemiecki: na Kriegerverein dał 2000 marek, na Ostmarkenverein dał 1000 marek, na wieżę Bismarcka coś 3000 marek.

Więc wszystko w porządku w tym najlepszym z światów: dessen Brod man isst, dessen Lied man singt.

Spór o sprawy emigracyi.

Toczy się obecnie spór publicystyczny, dotyczący spraw emigracyi zarobkowej.

Wyszło niedawno w polskim przekładzie i z uzupełnieniami tłumacza dra Englischa dzieło dra Leopolda Caro, adwokata krakowskiego i ekonomisty p. t. „Emigracya i polityka emigracyjna“ (Poznań 1914). W połowie lutego r. b. ogłosił w „Czasie“ prezes pols. Towarz. Emigr. poseł dr. Jan Hupka trzy artykuły o tej pracy i o jej autorze pod ironicznym tytułem „O epokowej książce“. W odpowiedzi wydał dr. Caro broszurę p. t „Odprawa p. Hupce i prawda o P. T. E.“ (Kraków, Gebethner stron 68). Pols. Tow. Emigr. odpowiedziało broszurą p. t. „Dr. Caro a P. T. E.“ (Kraków, Gebethner stron 107) napisaną przez dyrektora towarzystwa p. Okołowicza ze wstępem dyrekcyi i artykułami p. Hupki i t. d. w dodatku. Replikę dra Caro stanowi broszura p. t. „Prawdziwa działalność P. T. E., ignoracya czy zła wola“ (Kraków, Gebethner, str. 58).

Po przeczytaniu całego tego zbiorku wrażenie ogólne zostaje następujące.

Przeciw p. drowi Caro wystąpił pierwszy, jako strona zaczepiająca, p. poseł dr. Hupka w artykułach, które nie są sprawozdaniem i krytyką książki, ale jedną z najostrzejszych napaści osobistych, jakie u nas zdarzyły się, szczególnie na tym poziomie, na którym stoją obie strony. Uderza przedewszystkiem to, że między gwałtownością ataku a winami p. dra Caro, nawet w przedstawieniu p. dra Hupki, niema proporcyi. Zarzuty przeciw wartości samej książki dra Caro nie są mocne. Poważny czytelnik zatrzyma się przy dwu zarzutach p. dra Hupki. Wspomina on, że p. dr. Caro, czerpiąc niektóre opisy z „Pols. Przegl. Emigr.“, wydawanego przez Pols. Tow. Emigr., z którym p. dr. Caro nie jest w dobrych stosunkach, powołuje się ogólnikowo na „jedno z pism krajowych“, zamiast wymienić je wyraźnie: ta uwaga krytyczna wydaje się słuszna, nawet przy przyjętym przez p. dra Caro systemie, by wogóle nie wspominać o P. T. E., t. j. ani ganić go ani chwalić. Drugi zarzut zwracający uwagę jest ten, że książka p. dra Caro za mało zawiera wiadomości o emigracyi z Królestwa, tak że często mówi raczej o Galicyi a nie o Polsce całej: dr. Caro wyjaśnia jednak w pierwszej odpowiedzi (str. 6), że mimo starań ani on ani dr. Englisch więcej danych o Królestwie zebrać nie mogli. Poza tem są zarzuty, zmierzające do wykazania, że p. dr. Caro nie zna spraw emigracyjnych z autopsyi, ale są to zarzuty błahe i nie zawsze uzasadnione, a nawet czasem bardzo niepięknie wydęte, np. gdy p. dr. Hupka mówi czytelnikom, że p. dr. Caro pisze o nieistniejących towarzystwach okrętowych „Anebor“ i „Immau“, w rzeczywistości zaś chodzi tylko o błąd drukarski w nazwach „Anchor“ i „Inman“ towarzystw, które istnieją. Jednem słowem czytelnik po zarzutach p. dra Hupki mówi sobie, że, jeżeli mimo tak widocznych starań niema mocniejszych zarzutów przeciw książce p. dra Caro (a z pewnością znalazłyby się, bo i w znakomitszych dziełach bywa dużo błędów), to musi to być chyba bardzo dobra książka. Inne zarzuty są często osobiste, a najważniejsze z nich i najdotkliwsze, jak to, że p. dr. Caro sam sobie pisze recenzye, albo że niechęć jego do Pols. Tow. Em. wyniknęła z odsuwania go od godności w towarzystwie, były powiedziane najzupełniej na wiatr i niezgodnie z rzeczywistością. Co więcej, także zarzut, iż p. dr. Caro szkodził złośliwie Pols. Tow. Emigr. okazuje się bezpodstawnym, bo właściwie raczej powstrzymywał się od występowania przeciw niemu. W broszurce Pols. Tow. Em. te napaści osobiste są jeszcze może bezwzględniejsze, co jej odrazu bardzo szkodzi. — Jednem słowem niema proporcyi między ostrością ataku a rzekomemi winami. P. dr. Caro, obok zajęć zawodowych, zupełnie bezinteresownie poświęca się badaniom naukowym i to jak świadczą główne jego prace „Lichwa“ i „Emigracya“, w zakresie społecznie ważnym a może i drażliwym. Może p. Caro ma jakieś wady usposobienia i może się osobiście nie podoba, ale zrobiono zeń nieomal zbrodniarza i sojusznika

Rusinów i Prusaków. Znaczy to, że szanowny poseł Hupka, który również zupełnie bezinteresownie poświęca czas i pracę ważnej sprawie emigracyi, uniesiony temperamentem, który stanowi jedną z jego zalet w innych sprawach, stracił tu poczucie miary.

Przeciw Polsk. Tow. Emigracyjnemu zaś wytacza ze swej strony p. dr. Caro, wyzwany do tej walki na ostre, szereg stanowczych już zarzutów. Głównie chodzi o to, że Polsk. Tow. Emigr., będąc z jednej strony instytucyą humanitarną opieki nad wychodźcami, a z drugiej strony instytucyą zarobkową jako agencya przewozowych towarzystw okrętowych, niezawsze godziło należycie te dwie strony działania. Po zapoznaniu się z zarzutami p. dra Caro i z odpowiedzią Pols. Tow. Emigr., to przekonanie pozostaje. Niedomagania są widoczne w dwu kierunkach. — Po pierwsze przytoczone dosłownie i obszernie ustępy artykułów i broszur wydawanych przez Pol. Tow. Emigr. świadczą, że zbyt nieostrożnie zachęcano do emigracyi niekorzystnej, jak do Parany przedewszystkiem a także w pewnym czasie do Argentyny. Wiadomo zaś dzisiaj już powszechnie (a listy emigrantów wydane przez Warszawskie Tow. Opieki nad Wych. dają straszny obraz tej prawdy), że tam było emigrantom bardzo, ale to bardzo źle. Są dowody zupełnie jasne, że dyrektor Pols. Tow. Emigr. osłabiał w sprawie Argentyny ostrzegające głosy innych n. p. p. Jordana, oraz że malował ludowi zbyt różowo Paranę. Sposób obrony w broszurze Pols. Tow. Emigr. jest nie tylko nieskuteczny ale bywa rażący. P. dr. Caro przytoczył w pierwszej broszurze na str. 20—22 jedno z takich zachwalań Parany. W broszurze Pols. Tow. Emigr. na str. 28 p. Okołowicz zaznacza, że „dla wiadomości tych czytelników, którzy oskarżenia p. Cary nie czytali, nieszczęsny ten ustęp przytacza poniżej“ i rzeczywiście przytacza, ale.... nie w całości, bo z opuszczeniem ustępów najbardziej zachwalających. Taka broszura w oczach ludzi poważnych bardziej zaszkodzi niż same zarzuty. — Powtóre są również świadectwa, że opieka Pols. Tow. Emigr. nad emigrantami na okrętach, gdzie znosili oni nieraz męki, oraz po przybyciu na miejsce, była niewystarczająca. I znowu sposób obrony w broszurze Pols. Tow. Emigr. jest taki, że nawet trochę zakrawa na cynizm. Mówi się tam bowiem: „Nie można Pols. Tow. Emigr. winić za stosunki, panujące na statkach rozmaitych kompanii okrętowych, tak jak p. dr. Caro nie wini chyba za niewygody w podróży do Lwowa lub Wiednia tego kasyera, który mu sprzedał bilet kolejowy“ (str. 52). Jeżeli Pols. Tow. Emigr. tak tylko pojmuje swoje obowiązki, to jest to naprawdę za mało! I tu właśnie występuje znowu niedobre godzenie obowiązków humanitarnych z prowizyą otrzymywaną od towarzystw okrętowych za dostarczanie podróżnych. — A zatem, nawet uznając wiele dobrego w Pols. Tow. emigr. i nawet bez uprzedzeń patrząc na duże zdolności, niezwykłą energię i wiele zasług jego dyrektora p. Okołowicza, widzi się też te niedomagania bardzo poważne.

W przeważnej części dzienników krajowych, a mianowicie w tych, które związane są ze stronnictwami, o tej sprawie jest i będzie głucho. Wynika to stąd, że w zarządzie Pols. Tow. Emigr. zrzeszyły się wszystkie stronnictwa, a więc ludowcy, demokraci narodowi, konserwatyści krakowscy, demokraci. Można jednak spodziewać się, że to zrzeszenie będzie miało i dobre skutki, tem bardziej że niebrak w zarządzie Pols. Tow. Emigr. ludzi bardzo poważnych. A mianowicie zauważą niewątpliwie i oni w zarzutach podniesionych przez p. dra Caro rzeczy słuszne i będą się starali o usuwanie niedomagań.

Kronika.

Z zaboru austryackiego.

Niedola emigrantów. Jak można było przewidywać, fala obieżysasów, wyruszających co roku na roboty sezonowe do Prus, w r. b. wzmogła się ogromnie skutkiem klęsk głodowych w Galicyi. Wyzbywszy się resztek zasobów albo zostawiwszy je na opiece Opatrzności, emigranci w liczbie dochodzącej do 100 tysięcy, przeważnie z Galicyi a także i z Królestwa, ruszyli ku granicy pruskiej. I chociaż Arbeitercentrala w Katowicach zakontraktowała podobno w marcu o 10 tys. więcej, niż w roku zeszłym, chociaż wobec napływu ogromnego, blizko 70 tys. robotnika dano tam pracę, to jednak liczne dziesiątki tysięcy zostały na bruku w Katowicach, Boguminie i Mysłowicach, których mięśnie okazały się pod palcami pruskich agentów zbyt słabe, zostały w nędzy, o głodzie wśród coraz liczniej pleniących się epidemii, bez pracy i bez możności powrotu do domu. I trzeba było dopiero tak strasznych obrazów, jakie poczęły z Bogumina opisywać pisma krakowskie, aby wreszcie poruszyły się władze galicyjskie: namiestnictwo, policya krakowska i władze krajowe. Prezes Koła Polskiego wszczął stereotypowe „starania“ u rządu centralnego. Delegat krakowski namiestnictwa udał się do Mysłowic i rozdał biednym wychodźcom zapomogi pieniężne. Kolej północna ofiarowała bezpłatne bilety jazdy i wreszcie ruszyły z granicy pociągi, wiozące nieszczęsnych do nowej nędzy w ojczyźnie. Wydział Krajowy wysłał także na granicę urzędnika, zaopatrzył go w środki materyalne z poleceniem rozdawania wsparć najbiedniejszym. Jednocześnie Wydział wydał ostrzeżenie do noszacych się z zamiarem emigrowania, „aby przed Wielkąnocą bezwarunkowo wiosek rodzinnych nie opuszczały, z relacyi bowiem wysłanego urzędnika okazuje się, że zapotrzebowanie robotnika na zagranicznym rynku pracy jest już obecnie i aż do Wielkiejnocy zupełnie pokryte, skutkiem czego wyjazd przed Wielkąnocą naraziłby robotników na czekanie tygodniami na przyjęcie ich do pracy, a tem samem pogrążyłby ich w największej nędzy i głodem zmusił do powrotu do domu bez znalezienia zarobku“. Pomimo to gorączka trwa nadal. I dziwić się tej wędrówce trudno, gdy w domu głód, a tam na obczyźnie wydaje się nieszczęsnemu chłopu, że zawsze kawałek chleba zdobędzie. A u nas w kraju doprawdy za mało się o tem myśli i za mało robi, dużo natomiast się mówi.

Wiedeńskie pomysły. Dyrekcya kolei państwowych w Krakowie, spełniając polecenie ministerstwa kolei w Wiedniu, rozesłała do urzędów kolejowych cyrkularz z datą 4 marca, l. 7-B, w którym wzywa, aby zaniechano używania polskich nazw N. Sącz, Kraków, Żywiec, aby poniszczono pieczątki z tymi polskimi napisami, wozy kolejowe oznaczano nazwami Neu Sandez, Krakau, Saybusch i t. p. i te nazwy umieszczono na napisach stacyjnych. Podobny okólnik rozesłała dyrekcya lwowska z datą 21 marca l. 140, który podajemy w brzmieniu dosłownem:

„Dienstbefell

am allen Dienstellen (zu eigen Ständen der Herrn Vorstände). Die Herren Vorstände werden angewiesen darüber zu wachen, dass in allen in deutscher Sprache versanten Schriftstücken ausnahmlos die

amtliche Orts bezw. Stationsbezeichnung „Lemberg“ und nicht „Lwów“ angewendet werde.

Der k. k. Staatsbahndirektor“.

Dyrekcye krajowe motywują ten cyrkularz tem, że skutkiem używania nazw prawdziwych miały z ministerstwa „arge Unannählmlichkeiten“. Może nareszcie przedstawicielstwo polskie w Wiedniu zdobędzie się na krok, aby to ministerstwo doznało także i z naszej strony „Unannähmlichkeiten“ i usunęło raz wreszcie z języka kolejowego i z języka pocztowego te różne Krakauy i Kolomee, które szczególnie na poczcie panują niepodzielnie.

Szkolnictwo polskie na Bukowinie. Rada m. Czerniowiec uchwaliła jednogłośnie bez dyskusyi subwencyę w kwocie 3.500 kor. dla polskiego gimnazyum. Po uchwaleniu subwencyi postawiono wniosek, aby Rada miejska odniosła się do ministerstwa oświaty z prośbą o upaństwowienie polskiego gimnazyum w Czerniowicach. Wniosek ten także przyjęto jednogłośnie.

Z zaboru rosyjskiego.

Polskość „rosyjskiej“ Chełmszczyzny. Z ogłoszonych ostatnio urzędowych dat statystycznych okazuje się, iż pomimo wszelkich wykrojeń, zaokrąglań, przyłączań i wydzielań, pomimo wszystko w nowej gub. Chełmskiej prawosławni stanowią zaledwie $^1/_3$ ogółu ludności, katolicy zaś mają większość względną. Według tych danych gubernia składa się z 8 powiatów (bialskiego, biłgorajskiego, chełmskiego, hrubieszowskiego, konstantynowskiego, tomaszowskiego, włodawskiego i zamojskiego) o przestrzeni ogólnej 108.849 wiorst kw. z ludnością, wynoszącą (w r. 1909) 896.315 osób, wśród których katolików liczono 404.632 czyli 45·14 proc. ludności całej gubernii, prawosławnych — 327.322, czyli 36·52 proc., żydów — 135.238, czyli 15·09 proc. i innych wyznań 29.133, czyli 3·25 proc. Ziemi w Chełmszczyźnie przypada: na włościan bez różnicy wyznań i narodowości — 573.484 dziesięcin, na miasta — 4.620, na obywateli ziemskich: 1) Rosyan 78.971, 2) Polaków 334.872, 3) niemców 12.199, 4) żydów 22.911, 5) innych narodowości 11.133. Licząc tedy choćby niecałą połowę posiadłości włościańskiej jako polską, własność polska ogólna stanowiłaby zawsze jeszcze olbrzymią przewagę nad posiadłością obcą, t. j. rosyjsko-żydowsko-niemiecką.

Walka z nauczaniem polskiem na Litwie. Gubernatorowie guberni litewskich nie ustają w syzyfowej pracy chwytania przestępców politycznych, którzy zbierają dzieci polskie, pozbawione szkół własnych i uczą je czytania polskiego i pacierza. Ostatnio zwycięstwami na tem polu walki chwali się gubernator grodzieński. W pow. białostockim, w Zabłudowie, wykryto w tych dniach „tajną szkołę polską“. Nauczycielkę p. Korkuciową, która uczyła czytania dzieci dwóch gospodarzy, skazano administracyjnie na miesiąc aresztu, gospodarzy zaś Maksimowicza oraz Gruszę na dwa tygodnie aresztu. Dzieci uczyły się tylko półtora dnia. W tejże gminie, we wsi Kamionce jeden z miejscowych włościan uczył dzieci sąsiadów pacierza i katechizmu w języku polskim. Na skutek denuncyacyi, władze miejscowe zarządziły obławę dzieci i rewizyę „szkoły“. Schwytano „na gorącym uczynku“ 22 dzieci i nauczyciela, zabrano „podręczniki szkolne“, jako to katechizmy i modlitewniki. Wszyscy rodzice „schwytanych“ dzieci zostali skazani przez gubernatora administracyjnie na dwa tygodnie aresztu z zamianą na 25 rubli grzywny, a nauczający na 2 miesiące aresztu z zamianą na 200 rubli grzywny.

Koloniści żydowscy na Litwie. W końcu lutego zjechali się w Petersburgu delegaci żydowskich instytucyi ekonomicznych w liczbie 39 osób, ze wszystkich większych ognisk żydowskich. Podniesiono tam myśl tworzenia w Królestwie żydowskich kolonii rolniczych, korzystając z tego, że tam osiedlenie żydów na wsi, byle na gruntach dworskich jest przez prawo dozwolone. Z notatek pism żargonowych wynika, że i na Litwie zorganizowało się już kilka spółek kolonizacyjnych. Składają się one conajmniej z 50 członków. Po zgromadzeniu odpowiednich funduszów zakupią one do rozparcelowania większy obszar, jako tańszy. Spólnicy nabywać też będą narzędzia rolnicze na własność wspólną. Na zjeździe postanowiono też podnieść rzemiosło żydowskie, by mogło skutecznie walczyć z rzemiosłem polskiem.

Z zaboru pruskiego.

Wybory. Wybór uzupełniający w okręgu szamotulsko-skwierzyńsko-obornickim skończył się świetnem zwycięstwem polskiem. Kandydat nasz ks. prałat Kłos, pobił konserwatystę niemieckiego Hazę większością przeszło 3 tys. głosów. Wynik liczbowy przedstawia się, jak następuje: ogółem oddano 30.096 głosów, w tem na ks. Kłosa 16.438 (w r. 1912 o 587 mniej) na v. Hazę 13.019 (w r. 1912 13.015), na socyalistę Schultza 636 (w r. 1912 1076 gł.). Znaczna więc część głosów dawniej niemieckich — socyalistycznych padła teraz na księdza polskiego. Wybór ten ma doniosłe znaczenie, bo świadczy, że tragedya hr. Mielżyńskiego nie zachwiała wyborców polskich, że dalej agitacyę prowadzono znakomicie, ku czemu przyczyniły się świetne mowy ks. Kłosa na sejmikach, że poczucie obywatelskie ludności stoi tam bardzo wysoko. A przypomnieć należy, że okręg ten, sięgający granicy brandenburskiej, był dawniej niepewnym i zagrożonym. Dziś jest zdobyty ogromną większością i w naszem posiadaniu umocniony.

Po zajściach u Dominikanów. D. 23 marca odbyło się zebranie Tow. wyborczego dzielnicy Moabickiej w Berlinie, poświęcone gwałtom policyi w kościele św. Pawła nad dziećmi polskiemi i stanowisku pruskiego duchowieństwa. Referent pos. Dombek radził, aby sprawę praw naszych do opieki duchownej w jęz. ojczystym przeprowadzić przez wszystkie instancye kościelne. Naród nasz nie pozwoli sobie odebrać tych praw żadnej mocy. Przemawiali także księża posłowie Kurzawski, Brandys i Dunajski. Uchwalono nast. oświadczenie: „Dnia 15 marca b. r. w kościele św. Pawła w Berlinie krzywda wielka dzieciom i rodzicom polskim się stała; gdyż jednych i drugich odsunięto od Stołu Pańskiego, do którego przystępować pragnęli prywatnie po należytem przygotowaniu w myśl dekretu Ojca św. Piusa X z dnia 8 sierpnia 1910 roku o przygotowaniu dzieci przez rodziców z należytą pobożnością i pobożnym zamiarem. Tę krzywdę odczuwamy tem głębiej, ponieważ rządca parafii przyrzekł nam przyjęcie dzieci naszych do Komunii św., co sam przyznał w publicznym organie („Berliner Localanzeiger“). Odpieramy niesłusznie nam czynione zarzuty w poczuciu słuszności naszego żądania, pragniemy, aby sprawą tą zajęła się najwyższa władza kościelna. Domagamy się nauki przygotowawczej do Sakramentów św. dla dzieci naszych w języku ojczystym, wogóle równouprawnienia w kościele w myśl zasady kościelnej. Oświadczamy, że nawet wśród prześladowania w kościele, gdzie władza pruska nie powinna mieć przystępu i komendy, stać będziemy niezłomnie i wiernie przy naszej wierze św. rzymsko-katolickiej i naszej narodowości, w obronie najwyższych skarbów naszych. Ślubujemy, że dzieci nasze wychowywać będziemy po katolicku i po polsku. Tak nam Panie Boże dopomóż! Ofiarom prześladowanym z naszego grona wyrażamy współczucie, dziękujemy za trud podjęty i za obronę naszych praw i przyrzekamy pomoc wszelką“.

Wydawcy:

Dr. Adam Skałkowski i Dr. Stanisław Stroński.

Redaktor odpowiedzialny:

Dr. Mieczysław Skałkowski.

Redakcya i administracya: Lwów, ul. Asnyka 1, tel. 18—93, ekspedycya ul. Murarska 55.

Drukarnia Jakubowskiego i Sp. we Lwowie, Piekarska 11.